

ROCZNIK I. 1868. ZESZYT XII.

ŻÓŁTY GENERAŁ.

Z OPOWIADAŃ WIECZORNYCH.

SPISAŁ

WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Nie potrzebuję opowiadać, że po takiej przygodzie sen nie rychło skleił mi oczy, mimo że byłem znużony ogromnie. Obszedłszy i oglądnąwszy cały pokój, wróciłem na łóżko i począłem myśleć nad nieodgadnionem zjawiskiem. Wytłumaczyć go sobie żadnym rozumnym sposobem niemogłem — nie było to ani senne widzenie, ani majaczenie gorączki — na żywe oczy widziałem żółtego generała.

Kiedy tak leżałem cały jeszcze pod wrażeniem niewytłumaczonego zjawiska, usłyszałem naraz w sąsiednich pokojach jakiś ruch i szelest, jakby stąpanie kilku ludzi, potem nastała cisza, a za chwilę odezwał się skrzyp bramy na dworze i turkot powozu... Potem zaległa znowu głucha, niczem nieprzerywana cisza...

Nie byłem nigdy zabobonny i na męztwie godziwem nigdy mi nie zabrakło, ale przyznam się, że stan mój przez ten cały czas nie był do pozazdroszczenia.

Szczęściem jednak znużenie przemogło rozbudzoną imaginacyę, i sen ujął mnie w swe ramiona. Zasnąłem twardo a kiedy się obudziłem, już promienie słońca oblały jaskrawem światłem staroświecką komnatę. Czułem lekki ból głowy i osłabienie, co było widocznie skutkiem rozdrażnienia nerwowego, którego doznałem wczorajszego wieczora. Przypomniał mi się zaraz upiór wczorajszy, ale wspomnienie to tak spłynęło z nocnemi snami, że prawie sam zdać sobie sprawy niemogłem, czyli to mara była senna czy istotnie tajemnicze zjawisko.

Ubierając się spojrzałem na źwierciadło, przed którem pojawił mi się był żółty generał z świecznikiem w ręku. Na podłodze ujrzałem gęste krople białego wosku. A więc nie łudziłem się: co widziałem, było istotnie prawdą. Upiór zostawił po sobie ślady i to nie takie, do jakich przyzwyczajają nas baśnie o duchach, bo niebyły to ani krople smoły ani stopy wypalone, ale naturalny wosk, jakiego na świece powszechnie używano.

Oglądnąłem bliżej zastygłe krople wosku, były świeże, nawet jeszcze kurzem nie okryte. Takie wmięszanie się rzeczywistości namacalnej w to, co radbym był sobie koniecznie wytłumaczyć gorączkowem jakiemś przywidzeniem, jeszcze bardziej mnie skonfundowało.... Nie wiedziałem już teraz, co o tem wszystkiem myśleć...

Jakoż chciałem porzucić wszelkie domysły, skoro okazały się daremnemi, gdy naraz spostrzegłem, że krople wosku znajdywały się także nieco dalej i że tworzyły niejako ślad tej drogi, po której wracające od lustra przemknęło mi się przed oczyma widziadło żółtego generała.

Patrzę uważniej i wodzę okiem za tym śladem, widocznie przez spadanie kropli z świec oznaczonym — i uważam, że idą aż do owej dużej, dębowej i snycerską robotą suto zdobionej szafy, o której przy opisaniu komnaty wspomniałem.

Tuż przy samej szafie ślady się kończyły. Co to być może u licha?... Chwilkę stałem zdumiony a potem zacząłem oglądać dobrze ścianę. Przypomniało mi się bowiem

w samą porę, jako bywają po zamkach i pałacach tajemne wychody, które tylko ktoś świadomy znaku ich sekretnego odkryć potrafi. Przypatruję się tedy bacznie ścianie, która jak mówiłem już, wykładana była ciemnem drzewem, na którem znajdowały się najrozmaitsze snycerskie figle. Była w tem miejscu głowa murzyna, który miał nos przewleczony pierścieniem. Pociągnąłem za ten pierścień, probując czy przypadkiem nie komunikuje z jaką sprężyną tajemniczą — i oto istotnie zaledwie targnąłem nosem murzyńskim, kawał ściany poddał się i usunął.... Były to małe, nizkie drzwi, starannie maskowane rzeźbami....

Ucieszyłem się jak dziecko tem odkryciem, a że cała moja przygoda nocna wielce rozbudziła moją imaginację, zapomniałem o wszelkiej ostrożności i tak jak stałem, do połowy jeszcze nie ubrany, przesunąłem się przez drzwi tajemne, mówiąc sam do siebie:

— Nie sztuka znikać nagle z oczu, mój szanowny upiorze, jeżeli się ma takie wyjście! To i ja potrafię!

Przez drzwi dostałem się do drugiej komnaty, większej i strojniejszej niż ta, w której nocowałem. Był to pokój w formie regularnego całkiem kwadratu. Ściany jego wybite były zieloną, ale także spłowiałą już bardzo materyą, podłoga okryta była tureckiemi dywanami, które zachowały jaskrawe swe kolory mimo grubego pyłu, na ścianach porozwieszane były duże mapy mórz i krajów, i karty z dziwacznemi figurami.

Widocznie musiał to być gabinet albo kancelarja, bo oprócz kilku stołów, okrytych zielonem suknem i założonych papierami, stało między oknami duże biurko, oparte na posążkach panien morskich z złoconemi ogonami delfinów. Przy jednej z ścian stały dwie duże szafy szklanne, przepełnione książkami — a kilka staroświeckich sof i kareł uzupełniało całe umeblowanie.

Cały pokój uderzał tak jak i moja sypialnia gustem dziwacznym i mocno staroświeckim, a wydawał się nadto tak, jakby od wieków nie był zamieszkany. Wszystkie sprzęty i papiery okryty były grubym pokładem pyłu a powietrze przygniecione było stęchłą, wilgotną zaduchą.

Począłem się oglądać po całej izbie i powoli, pocichu przeszedłem ją posuwając się aż do drzwi, które znajdowały się w przeciwnej ścianie. Potem wzięła mnie chętka przeglądnąć bodaj zwierzchu leżące na biórku i na stołach papiery, aby tym sposobem dójść, ktoby był dawniej właścicielem i mieszkańcem tego starego, dziwnego domu, w którym jakby u siebie broił upior żółtego generała.

Już się zbliżyłem do biórka i chciałem ręką sięgnąć po jakąś dużą kopertę listową, opatrzoną długim adresem, gdy nagle usłyszałem tuż za ścianą, w sąsiednim pokoju, głośne, szybkie kroki i głosy ludzkie....

Przestraszyłem się i zmięszałem okropnie.... Nie była to już jednak trwoga przed jakiem nowem zjawiskiem, bo dzień był biały i słońce wesoło świeciło, ale był to strach przed zwykłymi ludźmi, którzy zastawszy mnie nieznajomego w pokoju, i to jeszcze nawet na pół nieubranego, gotowi byli wziąć za złodzieja po prostu.... A do tego zamiast być wdzięcznym za przysługę, mógłbym może narobić przykrego kłopotu poczciwemu Dyzmie, który mnie wbrew zakazowi swego pryncypała ulokował w tem starem domostwie....

Z srogiego kłopotu straciłem na chwilę przytomność, a tymczasem kroki i głosy zbliżały się już do samych drzwi.... Uciekać przez odkryte przezemnie wyjście do sypialnej alkowy było już zapoźno — słyszałem ze zgrozą, jak się w drzwiach poruszała zardzewiała klamka. Byłem w prawdziwej rozpaczy....

W takim arcynieprzyjemnem, rozpaczliwem prawie położeniu padł mój wzrok na duży stół, okryty aż do samej ziemi zielonem suknem, który stał o dwa kroki zaledwie od biórka. Nasunął mi się jedyny sposób ratunku. Szybko rzuciłem się do stoła i w mgnieniu oka zniknąłem po za suknem, które go ze wszystkich stron okrywało....

Znalazłem się w dobrem ukryciu i odetchnąłem swobodniej. Nikt mnie pod stołem ujrzeć nie mógł, ale i ja też nic widzieć nie mogłem. Położyłem się na ziemię, nawet palcem nieruszając, i począłem słuchać....

Usłyszałem jak się drzwi odemknęły i jak przez nie weszły dwie osoby.

— Niech pan zaczeka — usłyszałem głos nieznajomy — zaraz uwiadomię pana generała, który zapewne tu zaraz zejdzie, jeźli już ubrany....

— To pan generał nie wstał jeszcze? — usłyszałem głos drugi, znajomy mi bardzo dobrze.

Był to głos pana mecenasa Szalborskiego, poznałem go zaraz, bo ostry był i sykliwy nieco.

— Wczoraj poźno wrócił do domu — odezwał się głos nieznajomy. — Pan generał był na balu u p. feldmarszałka-porucznika Arncourta....

Rozmowa, jak to widać, toczyła się więc o rzeczy obojętnej i drobiazgowej — ale dla mnie była ona niezmiernie ciekawą. Zawierała bowiem wskazówki, które mogły mi może wytłumaczyć wczorajsze nocne zjawisko.

Mówiono o generale i o balu, na którym był wczoraj — a toż mój upior właśnie przeglądał się w zwierciadle, jakby chciał obejrzeć swój mundur paradny! Ależ wnioskując tak, musiałbym przypuszczać, że był to istotnie żywy, „żółty generał“, którego konterfekt poznałem w Basztokolu!... Czy to być mogło?... Miałżeby „żółty generał“ żyć jeszcze istotnie, on starszy znacznie od pana marszałka Oleszy?...

— Nic innego — mówiłem sam do siebie w duchu — jak tylko, że moje widziadło fantastyczne, moja mara nocna, spływa się dziwnym sposobem z pewnemi wskazówkami rzeczywistemi, i składa się tak razem na igraszkę fantazyi i przypadku.... Czekajmy co dalej będzie!

Usłyszałem teraz, jak jedna z osób wyszła z kancelaryi, zaskrzypnąwszy drzwi za sobą. Pozostał zapewne Szalborski, któremu czekać polecono. Słyszałem jego kroki. Chodził po pokoju a kilka razy zbliżył się do stołu, pod którym się schowałem. Raz stanął nawet tuż przy nim, przerzucając nademną papiery, tak że widziałem koniec jego stopy, jak wysuwała się ku mnie z pod rąbka zielonego sukna.... Wtedy lęk mnie zbierał nie mały, aby mnie jakim trafem nie odkrył i tłumiłem prawie oddech w piersiach.

Nareście usłyszałem, jak ktoś drugi nadchodził. Krok był ciężki, powolny — zdawało się, jakoby stopy idącego raczej się suwały po podłodze niżeli stąpały. Drzwi skrzypnęły znowu.

— Sługa najniższy Jaśnie Wielmożnego pana generał-majora! — usłyszałem głos pana mecenasa Szalborskiego, zniżony do pokornego tonu.

— Witam aspana — odpowiedział głos nieznany mi, ostry i donośny jeszcze, ale mocno drzący i złomanego tonu, tak iż kombinować mogłem, że mówi to starzec jakiś.

— Ścielę się do stóp JW. pana generała — mówił Szalborski — i przepraszam, że tak rano nachodzę, ale nie wiedziałem....

— Nic nie szkodzi, panie mecenasie — odpowiedział generał, bo jużcić musiał nim być ów drugi rozmawiający, skoro go pan Szalborski tak tytułował. — Nie lubię spać długo, starego choć siły opuszczają, dawny obyczaj żołnierski się trzyma.... Co mi aspan powiesz, panie Szalborski.

— Najpierw przychodzę powitać JW. pana generała, którego raczej panem i dobrodziejem moim, niż klijentem nazywać mi się godzi....

— Daj Wasze pokój tym zbytnim rewerencjom i bierz się do rzeczy....

— Najpierw wyrazić muszę żal mój — ciągnął Szalborski — że JW. p. generał zastał pałac swój nieprzygotowany na przyjęcie.... Ale JW. p. generał przyjechał tak nagle i niespodziewanie....

— Nie frasuj się tem wcale. Nie długo zabawię we Lwowie, bo nie ma tu u was co robić. Na kilka dni kwatera wystarczy.

— Przyszedłem dalej z zapytaniem — mówił dalej pan mecenas — czyli JW. pan generał raczy wysłuchać raportu i przejrzy rachunki, które mu mam złożyć?...

— Sprawisz się asan co do tego z moim adjutantem, panem lajtnantem Krenwitz.

— Jest wszakże jedna sprawa — zauważał p. Szalborski — która wymaga osobistej konferencyi z JW. panem generałem.

— *Tandem* słucham pana....

— JW. pan generał pisał do mnie przed półrokiem list z Drezna z poleceniem owej wypłaty, czyli raczej egzekucji owego zapisu....

— A! dla tej szlachcianeczki — przerwał generał. — Właśnie sam ci to przypomnieć miałem, panie Szalborski. Zapisałem jej na oprawę 20.000 dukatów, które miałeś jej wypłacić pod dwoma warunkami....

— Mam je dobrze w pamięci — dodał Szalborski — *primo*: jeżeli jest ubogą a zacną i cnotliwą dzieweczką, *secundo*: jeżeli już przedtem, nim jej wiadomość o tym hojnym zapisie doszła, zdołała sobie pozyskać samemi tylko zaletami swej osoby poczciwego rodu młodziana i jeżeli mimo zmiany swych stosunków majątkowych odda mu swą rękę....

— Tak jest, panie mecenasie, jest to moja krewniaczka, której dotąd niewidziałem nawet.... Powiedz mi tedy, Wasze, o ile ta sprawa postąpiła.... Odszukałeś ją?...

— Odszukałem.

— I przekonałeś się, że warunki potrzebne posiada?

— Tak jest JW. panie generale. Jest ubogą i sierotą, a zacną i całem słowem uczciwą panienką.... Pokochał ją jeszcze przed wiadomością o zapisie pewien młody człowiek, który mnie bardzo mocno obchodzi, a którego poznasz, JW. panie generale. Oto akt zapisu, który zostawiam w kopji....

— Czy ładna?

— Bardzo, o ile znawcą jestem....

— Czy podobna do swej matki, którą raz tylko w życiu widziałem?

— Jak sylwetka matki wskazuje, jest bardzo wiele uderzającego podobieństwa....

— Chciałbym ją zobaczyć.

— Stanie się zadość woli JW. pana generała i to przy bardzo uroczystej okazyi. Jutro wieczór będzie ślub jej z rzeczonym młodzieńcem, i oboje z kościoła przybędą tu, aby złożyć podziękowanie i odebrać błogosławieństwo.... Korzystając z danego mi pełnomocnictwa pozwoliłem na ślub, a dzień jego będzie dniem radości nietylko dla młodej pary, ale i dla mnie, bo panem młodym jest — niech to JW. pana generała nie dziwi....

— Ufam ci zupełnie, panie Szalborski — przerwał generał — i mam nadzieję, żeś tego zaufania nie zawiódł.... Więc jutro państwo młodzi staną przedemną. Dobrze tedy. Będę ich czekał. Teraz zaś wyjeżdżam natychmiast, bo razem z p. generałem Arncourt, który jest moim dawnym przyjacielem, mamy odwiedzieć o kilka mil pode Lwowem starego wspólnego znajomego i odbyć u niego polowanie.... Ale jutro wieczór będę już z pewnością w domu.... Bywaj zdrów panie mecenasie....

Usłyszałem w mojem ukryciu kilkakrotne suwanie nóg, jakby do ukłonu i oddalające się kroki mecenasa. W kancelaryi pozostał sam generał i przechadzał się powolnym krokiem. Po chwili usłyszałem nowe kroki i głos:

— Powóz zajechał, JW. panie generale!

Po odgłosie kroków i skrzypnięciu drzwi poznałem, że generał wyszedł. Słuchałem chwilkę jeszcze, czy nie

został kto w pokoju, ale niesłyszałem najmniejszego szelestu. Wystawiłem z lekka głowę z pod sukna i przekonałem się, że pokój był pusty. Opuściłem tedy moją kryjówkę.

Podsłuchana rozmowa, jakkolwiek nie była dla mnie zrozumiałą, dziwne we mnie wywołała myśli.... Wszystko, co od wczoraj w tym dziwnym domu widziałem i słyszałem składało się z tem, co się zdarzyło w Basztokolu, w jedną wprawdzie nadzwyczajną ale prawdopodobną kombinacją.

Rzuciłem się do biórka założonego papierami, aby z nich dowiedzieć się, kto jest ów generał. Imię jego rostrzygało całą zagadkę. Wzrok mój padł na papier urzędowej formy. Była to właśnie owa kopja zapisu, którą przyniósł i zostawił generałowi Szalborski. Rzuciłem się formalnie na ten akt, jak zgłodniały tygrys na swą ofiarę.

Począłem czytać, ale ledwie kilka wierszy przebiegłem oczyma, wydałem mimowolny okrzyk zdziwienia....

Na samym wierzchu odczytałem następujące słowa: „Ja Jost Eligiusz dwojga imion Suchorzewski *clenodio* Rawicz, jenerał-major wojsk J. K. M. króla saskiego, szambelan dworu, kawaler orderów i t. d. zapisuję i darowuję JM. pannie Helenie Oleszance, córce Andrzeja i Elżbiety z Suchorzewskich Oleszów....

Nie czytałem już dalej. Krew mi uderzyła do głowy i serce jak młotem kołatać zaczęło. Podniosłem papier z tryumfem w górę i zawołałem z radośnem uniesieniem:

— Wiktorya! Mam ślady! Odkryłem intrygę! Helenka znaleziona!

Ale pierwszy ten wybuch radości ustąpił wkrótce całemu natłokowi myśli. Nie było wątpienia, że Helenka padła ofiarą szkaradnej intrygi i to uknutej niezawodnie przez Szalborskiego, który rozłakomiony ogromnym darem generała, gotował jakąś łotrowską sprawkę.

Stanęła mi na myśli podsłuchana rozmowa między nim a generałem. Szalborski mówił, że Helenka stanie jutro wieczór zaraz po ślubie z swym mężem przed swym dobroczyńcą. Zgroza mnie przejmowała. Kto ma być tym mężem? Jakim sposobem mogła na to zezwolić Helenka, o której wierności ani chwilę nie wątpiłem? Zmuszono ją chyba gwałtem okrutnym....

— Ha panie Szalborski, zacny mecenasie! — zawołałem gorejąc od oburzenia i gniewu. — Plan twój nikczemny ma dojrzeć jutro! Zobaczymy, łotrze ohydny!

Wpadłem do mojej sypialni i ubrałem się szybko. Włożyłem pistolety za pas, okryłem się burką i wybiegłem na korytarz. Rychło jednak spostrzegłem się, że nie mam żadnego obmyślanego planu.... Co robić najpierwej, gdzie się natychmiast rzucić?

— Oswobodzić Helenkę! — wołało serce.

— Ale gdzież ona jest, gdzie ją znajdę?

— A toż mam „żółtego generała“ pod bokiem — pomyślałem. — Pójdę natychmiast do niego, odkryję mu wszystko, wstrzymam jego odjazd, i wspólnie odkryjemy intrygę niecną i jej ofiarę, nieszczęśliwą moją Helenkę!...

Wybiegłem na podwórze.

Nie było na nim nikogo; widocznie generał już odjechał.

Postanowiłem tedy biedz zaraz do Szalborskiego, ująć jak złoczyńcę, zdeptać go nogami i wydrzeć z gardła niecnocie całą tajemnicę....

V.

Wybiegłem na ulicę i pędziłem jak opętany do miasta, do kancelaryi Szalborskiego. Wpadłem tak impetycznie do bióra, że aż wszyscy aplikanci się pozrywali. Dyzmy jednak między nimi nie było.

— Gdzie jest Szalborski?! — zawołałem na wstępie.

— Nie ma go! — odpowiedziano mi.

— To być niemoże, moi panowie, bardzo proszę, powiedźcie mi, gdzie jest mecenas? Potrzebuję go gwałtownie!

Złagodziłem głos mój, tamując gniew, ile można było, aby nie utrudnić sobie wstępu do Szalborskiego.

— Ależ niech nam waćpan wierzy — odezwał się jeden z aplikantów, najstarszy — pana mecenasa nie ma w tej chwili ani w domu ani w kancelaryi. Wyszedł do sądu, gdzie ma dziś termin. Jeżeli go waćpan koniecznie potrzebujesz, możesz go tam znaleźć.

Usłyszawszy to nie pożegnałem się nawet i nie podziękowałem ale wybiegłem na ulicę i pospieszyłem do *forum*. Przeszkody w odszukaniu Szalborskiego, zamiast ułagodzić nieco furję moją, jeszcze bardziej ją podżegały. Byłem wściekły na tego człowieka, o którym wiedziałem teraz z całą pewnością, że był sprawcą mego śmiertelnego frasunku, że wydarł mi nikczemnym podstępem to, co mi najdroższem było na świecie....

Zadyszany i rozburzony do głębi wbiegłem na kurytarz gmachu sądowego, który umieszczony był w pojezuickiem zabudowaniu. Nawinął mi się zaraz na wstępie woźny, który na moje zapytanie, czy nie widział gdzie Szalborskiego, wskazał na głąb kurytarza. Spojrzałem tam, Szalborski stał z kilku innymi i wesoło rozprawiał. Gdym zobaczył zdrajcę taki mnie szał gniewu opanował, że zapomniałem o sobie, a rozsądek umilkł pod przewagą namiętności....

W kilku skokach przypadłem do niego. Na widok rabiata rozstąpili się jego towarzysze, on sam jak kreda pobladł i chciał coś krzyknąć, zapewne wzywając ratunku. Nie dałem mu skończyć, schwyciwszy go w mej wściekłości za gardło, przycisnąłem głos w krtani.... Tak silnie go zdusiłem, że posiniał i oczy na wierzch mu wylazły.... Potrząsłem nim kilka razy i zawołałem, pieniąc się od gniewu:

— Gadzie podły! — łotrzyku, zbójco nikczemny! Wiem ja o twej zdradzie! Mów, gdzie moja narzeczona, panna Oleszanka, wyznaj, albo jak żmiję cię zduszę!...

Szalborski nic nieodpowiadał, bo też i nie mógł nędznik, gdyż chyrczał zaledwie pod moją dłonią.... Jednym tedy zamachem powaliłem go na ziemię, i kto wie czy byłby żyw wyszedł z tej przygody, gdybym się nagle nie uczuł pochwyconym przez kilkoro rąk z tyłu....

Byli to pachołcy sądowi, kilku ich naraz zwaliło się na mnie, ale z wielką biedą wyrwali z rąk moich Szalbierskiego, takiej żelaznej siły dodawała mi wściekłość. Przemógłszy mnie wreszcie, związali mnie pachołki, choć się broniłem, jak lew rozjuszony, i na polecenie samego Szalborskiego, który tymczasem przyszedł był nieco do siebie, odwiedli a raczej odnieśli na poblizki odwach wojskowy.

Opierałem się, co sił starczyło i wołałem na obecnych, wzywając pomocy przeciw Szalborskiemu i jego zdradzieckiej intrydze, ale daremnie; patrzano na mnie jak na obłąkanego. Oblanego potem, znużonego walką, z ochrzypłą piersią, z pianą na ustach oddano mnie straży na odwachu, która mnie zamknęła w małym, ciemnym areszcie. Rzuciłem się na słomę, a zdało mi się, że z bezsilnego gniewu i rozpaczy od zmysłow odejdę.

Straciłem przytomność na dobry przeciąg czasu. Gdy przyszedłem do siebie już się miało ku wieczorowi, który że to było w poźnej jesieni, bardzo wcześnie się rozpoczynał. Z początku nie wiedziałem co się ze mną stało... Zdawało mi się, że wszystko, co tego dnia przeżyłem, było tylko ciężkim snem. Ale słoma, na której leżałem, związane ręce i duszna wilgoć aresztanckiej kaźni przekonały mnie rychło, że to nie mara senna ale rzeczywistość...

Zwlokłem się z słomianego barłogu i podstąpiwszy pod drzwi, począłem pukać z całej siły nogami. Zaglądnął przez małe okienko żołnierz a za nim kapral. Począłem wołać i prosić, aby przyszli do mnie. Po niejakiem wahaniu się wszedł do kałauzu kapral i łamanym niemieckim językiem, bo był Kroat, zapytał, czego żądam. Takimże samym, a nawet jeszcze gorszym językiem — bo mało po niemiecku umiałem — pytam go, za co mię więżą.

— Boś człowieka chciał zamordować! — odpowiada.

Tłumaczę mu, jak mogę, żem niewinny, że to ja stałem się ofiarą zbrodni i oszustwa, ale cóż to obchodziło kaprala, który mnie zresztą nie mógł rozumieć, bo i ja i on razem nie umieliśmy tyle po niemiecku, ile starczyło do porozumienia.

— *Nix da! Alles ajnc! Befehl!* — powtarzał kapral na wszystkie moje argumenta.

Proszę ja go tedy, aby mnie odstawił na policyą, gdzie się wytłumaczę z mej winy, bo i tak cywilny jestem człowiek i juryzdykcyi wojskowej nie podlegam.

— *Nix! Alles ajnc!*

— Jest tu oficer wasz? — pytam.

— Niema, przyjdzie dopiero jutro z południa!

Masz tobie teraz! Proszę go tedy i zaklinam dalej, aby mnie pod muszkietami gdzie chce odstawił, bylem mógł się opowiedzieć, kto jestem i byle mnie przesłuchano. Odpowiada mi na to, że musi mnie trzymać w kałauzie, aż po mnie przyszlą z policyi i aż oficer przyjdzie, bo z takim mu nakazem mnie oddano, i kazawszy rozwiązać, zostawia mnie znowu w ciemnej celi.

Byłem w najokropniejszej desperacyi. Byłem sam na siebie rozsrożony, bo byłoby nie przyszło do tego, gdybym był spokojnie i rozważnie wziął się do rzeczy. Popsułem wszystko moją gwałtowną furją. Szalborski mógł teraz tryumfować nademną.

Najczarniejsze mysli przepełniały mi rozgorączkowaną głowę.

— Nim się ztąd wydostanę — myślałem sobie — intryga zostanie ostatecznie spełnioną; Helenka padnie ofiarą gwałtu! Zmuszą ją wziąć ślub z owym nieznanym mi jakimś człowiekiem, którego jej Szalborski przeznaczył, i straconą będzie dla mnie na zawsze!

Miałem ochotę strzaskać sobie o mur głowę. Wiedziałem, że się ztąd wydostać muszę, ale nim się wydostanę, będzie za poźno! Wszakże jutro pod wieczór miał się odbyć ów ślub. Cóż mi z tego, jeźli poźniej odkryję intrygę? Helenkę, która tymczasem stanie się żoną innego, wywiozą znów w nieznane strony, jenerał wyjedzie, Szalborski wszelkie ślady zatrze, a mnie w naddatku w więzienie za rozbój publiczny wsadzi!...

Przebyłem noc najokropniejszą. Z natury żywego a nawet namiętnego temperamentu, krzyczałem, włosy sobie rwałem lub płakałem na przemian. Wyprawiałem taki piekielny hałas, że kapral mi zagroził, iż mi kawecan na usta założyć każe... Póki życia mego nie zapomnę tej chwili fatalnej.

Tak przebyłem noc całą i większą połowę dnia następnego. Oficera nie widać było długo, aż nareście dobrze już po południu przybył zwiedzić straż odwachową. Po dwudziestu czterech godzinach najsroższego niepokoju i bezsilnego szału zabłysnął mi wreszcie promyczek nadziei. Trwoga wprawdzie najrozpaczliwsza mnie przejmowała, gdym pomyślał, że do wieczora pozostaje zaledwie kilka godzin, i że jeżeli natychmiast wolnym nie będę, intryga szkaradna a tajemnicza Szalborskiego zostanie ostatecznie spełnioną — i Helenka padnie ofiarą gwałtu, oddając rękę na zawsze jakiemuś narzuconemu jej człowiekowi — ale zawsze była jeszcze słaba przynajmniej możliwość ratunku.

Kapral zameldował oficerowi, że dostał pod straż jakiegoś gwałtownego i rozsrożonego więźnia, a oficer kazał mnie zaraz stawić przed sobą. Rozpacz dodawała mi wymowy, choć po niemiecku jak już powiedziałem, bardzo mało tylko umiałem, i począłem błagać oficera, aby mnie natychmiast wypuścił. Oficer, jakiś Niemiec zabity, ale dość łagodny i wyrozumiały, wysłuchał mnie cierpliwie, nie wiem czy ze wszystkiem zrozumiał, ale następną dał mi odpowiedź:

— Mospan Polak, ja nic panu pomódz nie mogę. Wypuścić pana na własną rękę nie mogę, ale odeszlę go natychmiast do dyrektora policyi. Tam się tłumacz i protokół każ spisać, a potem niech ci Bóg pomaga!

Kazał dwom żołnierzom wziąć muszkiety i odprowadzić mnie na policyą. Byłem i z tego zadowolony, bo przecież należało przepuszczać, że dyrektor policyi wyrozumiawszy, o co chodzi, nietylko mnie wypuści, ale i pomocy ze swej strony udzieli.

Mrok już zapadał, gdy mnie wywiedziono z odwachu. Widząc, że już poźna godzina, począłem się na nowo niepokoić. Kto wie, jak wypadnie — a nuż w policyi mnie odrazu nie przesłuchają, ani mi nie uwierzą i po niemiecku zwolna rzeczy dochodzić będą, a tu każda godzina, każda minuta rozstrzyga, i jak się spoźnię, będzie już po wszystkiem!

Niema co mowić, było to fatalne położenie! Cóż robić, jak sobie poradzić?... Wpadła mi tedy rozpaczliwa myśl do głowy, uciec po prostu z pod straży.

Wprawdzie żołnierze, co mnie konwojowali, mieli muszkiety ostro nabite, i mogli mnie zastrzelić jak psa, ale cóż mi już ważyło życie? Niepamiętałem o niem, i byłbym rad rzucił się nawet na armaty, byle wydostać się na wolność i ratować Helenkę.

Idąc tedy między żołnierzami oglądam się na wszystkie strony, kędyby najlepiej zemknąć. Do policyi z odwachu był spory kawał drogi, a kilka razy skręcało się w rozmaite ulice. Na jednym takim skręcie westchnąłem do Boga, zebrałem wszystkie siły, zaczerpałem tchu do piersi, i nagłem a silnem uderzeniem obaliwszy na ziemię jednego żołnierza, zrobiłem skok w boczną uliczkę i jak strzała szybko uciekać począłem...

Natychmiast jeden z żołnierzy dał do mnie ognia.

Szczęściem, źle mierzył, kula gwizdnęła mi po nad głową i ugodziła w mur pobliskiego domu.

Tymczasem powstał z ziemi ów powalony przezemnie towarzysz jego i obaj puścili się za mną w pogoń...

Darłem naprzód co sił stało, migając się tylko na skrętach przed oczyma żołnierzy. Ci pędząc ustawicznie wołali na przechodniów, aby mnie powstrzymano, ale że musiałem wyglądać groźnie i po desperacku, nikt mnie nie próbował ująć, owszem wszyscy się ustępowali przedemną.

Nikt mnie zresztą porządnie i z szlachecka ubranego nie wziął za prostego złoczyńcę, ale przeciwnie myślano, że Austryacy łowią jakiegoś partyzanta z politycznych rozruchów, które wówczas w czasie wojen napoleońskich niedawały Niemcom pokoju.

Po kilku minutach takiej gonitwy skoczyłem w bramę jednej z kamieniec i tam się za stos drzewa skryłem. Słyszałem jak żołnierze, do których się i inni na ochotnika przyłączyli, przebiegli po pod kamienicę... Zmylili trop, minęli mnie, mogłem odetchnąć swobodniej...

Tymczasem zmrok stawał się coraz gęstszym, sciemniło się na dobre. Wytchnąwszy i wysapawszy się nieco w mojem ukryciu wyszedłem na ulicę, ostrożnie oglądając się do koła. Począłem rozmyślać, coby mi teraz czynić wypadało. Byłem wolny, ale nie miałem sposobu do dalszego dzieła.

Gdzie teraz odszukać Szalborskiego? Jakim cudem odkryć miejsce, w którem Helenkę ukrył? Jak zapobiedz, aby zapowiedziany ślub nie odbył się w swoim czasie tj. za godzinę, za pół godziny już może? Pytania te nawałem cisnęły się do mojej głowy — a na żadno odpowiedzieć nie byłem w stanie.

Chwilkę na miejscu stałem zrozpaczony, bezradny. Nareście jakby dobry duch podszepnął mi imię Dyzmy. Postanowiłem udać się natychmiast do niego. Można było przecież przypuszczać, że Dyzmie nie uszły przygotowania, jakie pryncypał jego musiał robić do wykonania swej intrygi, i że może dać mi wskazówkę jaką, dla niego, jako dla nieświadomego całej tajemnicy obojętną, dla mnie nieocenioną.

Pobiegłem tedy natychmiast do Dyzmy. Nie szukałem go jednak w kancelaryi mecenasa, bo najpierw niebezpiecznie mi było pokazywać się tam, a powtóre w tak poźnej godzinie Dyzma zapewne był już po skończonej robocie w domu, u siebie.

Mieszkał na Krakowskiem, dobry kawałek od miasta. Pobiegłem do niego spiesznie i na szczęście zastałem go w domu, właśnie w chwili, kiedy miał wychodzić. Mieszkał on w dwóch małych pokoikach razem z swym ojcem, zubożałym dzierżawcą, którego pracą swą utrzymywał. Gdy mnie zobaczył i ucieszył się i przestraszył zarazem. Większy był jednak przestrach jego niż uciecha, bo się cofnął w tył i zalęknionym wzrokiem mierzył mnie od stóp do głowy:

— Nieszczęśliwy, ty tutaj! — zawołał.

— Czemuż się tak lękasz i dziwisz, czy wiesz o czem może? — zapytałem.

— A jakżeż niemam wiedzieć — odparł Mazio cały jeszcze zastraszony — toż całe miasto mówi od wczoraj o tem, jak chciałeś zamordować Szalborskiego i jak cię pod muszkiety wzięto! Jakim sposobem tu się dostałeś?

— Uciekłem straży.

Mazio zbladł jak chusta.

— Człowieku — zawołał drząc cały — zgubiłeś mnie i siebie. Ja ci dać schronienia nie mogę, wynajdą cię tu, stracę nietytko chleb, ale i do więzienia dostać się mogę!

— Głupiś — krzyknąłem, bo mnie tchórzostwo Dyzmy naprawdę rozgniewało — nie przyszedłem cię gubić i nie proszę o schronienie... Ale niespodziewałem się nigdy, abyś dla zajęczego serca odmawiał pomocy przyjacielowi.

Poczerwieniał biedny Mazio od wstydu i począł mnie przepraszać.

— Ależ mój drogi Józefie — mówił — nie bierz słów mych w tak złem znaczeniu! Jestem bojaźliwy nieco, to prawda, ale zważ, że gdy mnie spotka jaki nieszczęśliwy przypadek, to najbardziej ucierpi na tem mój ojciec biedny.

— No, no, wierzę ci — przerwałem mu — i przepraszam za cierpkie słowa... Widzisz w jakiej gorączce jestem.

— Powiedzże mi na miłość Boga, co się z tobą działo i co za nieszczęsną przygodę wyprawiłeś z Szalborskim? Ja już wczoraj rano byłem o ciebie a bardziej jeszcze o siebie w wielkiej trwodze, bo zaledwie zakwaterowałem cię w pustym pałacu, dowiedziałem się, że jego właściciel jest we Lwowie i pomieszkanie swoje zajął. Pobiegłem też zaraz raniutko, aby cię wykwaterować, bo jak wiesz, zrobiłem wbrew woli mecenasa, ale drzwi były zamknięte i daremnie pukałem. Przybiegłem potem po raz drugi przed południem — pokój był otwarty, ale ciebie trudno było znaleść... Zabrałem więc twój tłumok, szablę i pistolety, i przeniosłem tu cichaczem do mnie...

— Dobrześ zrobił, kochany Mazio — rzekłem — szabla i pistolety, kto wie, czy się nie zdadzą zaraz... Ale teraz mam do ciebie prośbę wielką. Niechcę cię narazić na żadne niebezpieczeństwo, ale błagam tylko pomocy przyjacielskiej. Nie odmówisz mi jej, jeźli nie chcesz ujrzeć, jak sobie palnę w łeb z pistoletu...

Poczciwy Mazio zbladł znowu jak kreda i w milczeniu załamał ręce.

Opowiedziałem mu całą przygodę moją w pustym pałacu i co tam podsłuchałem.

Mazio aż za głowę się chwycił, przekonawszy się tym sposobem, jaką szkaradną intrygę uknuł jego przewrotny pryncypał.

— Ktoby się był tego spodziewał! — powtarzał ciągle zalękniony.

Gdy mu opowiedziałem dalej moje zajście z Szalborskim i wykazałem, jakie niebezpieczeństwo grozi mnie i Helence, bo właśnie za kilka chwil już może odbędzie się jej ślub z wybranym przez Szalborskiego jegomością, zawołał przerażony:

— Wszystko przepadło! Wszystko stracone! Gorączką twoją popsułeś rzeczy i udaremniłeś ratunek. Józefie, zaklinam cię, zrezygnuj ze wszystkiego i salwuj siebie, bo niewiesz, w jakie nieszczęście wplącze cię Szalborski... Wynajdą cię, uwiężą i przepadło!...

— Ja mam salwować siebie, jak podły tchórz — krzyknąłem na biednego Dyzmę — nigdy, przenigdy! niechaj poleże i głowa! Niedam się zjeść tak łatwo przez łotra rabulistę! Zamiast dać mi pomoc, ty mi otuchę jeszcze odbierasz!

— Ale cóż ja ci pomogę, cóż ja ci pomogę! — jęczał strapiony Dyzma.

— Powiedz mi tylko — zawołałem — czy nie uważałeś, czy nie podsłuchałeś czego, coby mi mogło dać ślad jaki, gdzie ukryto Helenkę? Przypomnij sobie dobrze, niepodobna przecież, aby w ostatnich dniach u Szalborskiego nie czyniono jakich tajemniczych przygotowań!

— Nie — szepnął Dyzma.

— Ależ człowieku! — wołałem z desperacyą — przecież dziś Szalborski Helence wesele wyprawia! Nicże ci nie wpadło pozawczoraj, wczoraj albo dziś może w oczy, coby wskazówkę jaką dać mogło?...

— Nie — powtórzył Dyzma.

— A toś chyba tuman na cztery gwoździe zakuty! — zawołałem — ale to być nie może, w żaden sposób nie może!

— W ostatnich dniach, ręczę ci, nic takiego nie zauważałem — mówił Mazio — ale, ale... Otóż może i ślad będzie!

I jakby uradowany poruszył się żywo na miejscu.

— Mów, zaklinam cię.... ani chwilki niema do stracenia!

— Jak ci to opowiadałem już nieraz, chodziłem i chodzę wieczorami na przedmieście janowskie, het za miasto, w codzienne odwiedziny do pana Macieja, którego córkę pannę Magdusię znasz przecie. Otóż zdarzało się od dwóch miesięcy, że idąc tam lub powracając w nocy spotykałem albo samego młodego Szalborskiego, albo razem z mecenasem... Umykałem im z drogi i chowałem się, a tak sam niedostrzeżony śledziłem ich nieraz. Otóż prawie codziennie w nocy, widywałem jednego albo obudwóch, jak szli lub jechali do małego domku, który tam stoi samotny, otwierali sobie kluczem furtkę i niknęli za parkanem.

— Czemużeś mi tego pierwej niepowiedział — zawołałem z wyrzutem.

— Ale cóż to ciebie obchodzić mogło? Przecież nie miałeś najmniejszego posądzenia na Szalborskiego! Któż się tego mógł spodziewać? — tłumaczył się Dyzma.

— I znasz dobrze ten domek?

— Znam.

— Czy i ostatniemi dniami także spotykałeś tam Szalborskich?

— Pozawczoraj jeszcze.

— Więc prowadź mnie tam!

Dyzma się zawahał. Na twarzy jego malowało się najwyższe zakłopotanie.

— Jakto nie chcesz? — ryknąłem prawie jak źwierz dziki; bo mi się aż w głowie paliło — musisz, przysięgam ci, że musisz! Strzelę ci w łeb jak psu, zasiekam na śmierć, jeźli się takim podłym tchórzem okażesz!

Dyzma drżał jak listek.

— Uspokój się człowiecze! — błagał — pójdę z tobą, gdzie chcesz, tylko ochłoń z furyi, na miłość Boga, bo znowu i siebie i twoją Helenkę zgubisz. Poprowadzę cię aż do samej uliczki, tam poczekamy ukryci, aż nadjadą lub nadejdą Szalborscy.

— A jak już będą w domku!

— To ci go wskażę i rób sobie, co chcesz, skacz w piekło, narażaj karku, kiedyś szalony! — wołał zroczpaczony Dyzma.

Skoczyłem mu na szyję i uściskałem z wdzięczności.

— A więc chodź natychmiast! Tu chwilka rozstrzyga a mnie ziemia pali się pod stopami... Dawaj moją szablę, pistolety i burkę.

Dyzma podał mi żądane rzeczy i sam w płaszcz się szeroki owinął.

— Naprzód w imię boże! — zawołałem, ściskając kurczowo rękojeść szabli.

Wyszliśmy. Dyzma nasunął czapkę na oczy i owinął się w płaszcz aż powyżej nosa, aby go nie poznano. Kiedyśmy już wyszli za miasto, szedł z bojaźliwą ostrożnością oglądając się na wszystkie strony i umykając przed lada cieniem.

Na uliczce przedmiejskiej, którą zdążaliśmy, nie było żadnego oświetlenia, a noc robiła się ciemną, że oczy chyba



Jednym prawie skokiem stanąłem na parkanie... (str. 371.)

wykłuj. Szliśmy milcząc, tylko od czasu do czasu przynaglałem Dyzmę, aby szedł prędzej i pytałem, czy daleko?

Tak uszliśmy już spory kawałek drogi, nie spotykając nikogo; i począłem już natarczywie nalegać na Dyzmę, aby spieszniej mnie prowadził, gdy naraz usłyszeliśmy za sobą turkot kilku pojazdów.

Dyzma przelękniony chwycił mnie natychmiast za płaszcz i zaciągnął z sobą na bok, pod jakiś dom, i tam się skrył.

— Uważaj ztąd dobrze — rzekł do mnie — może to oni jadą.

Wytężyłem wzrok. Oba powozy były oświetlone latarniami. Spojrzałem tylko na pierwszy, który szybko przejeżdżał, i ledwie zdołałem stłumić okrzyk, który mi się wyrywał z piersi.

W powozie, jak to przy świetle latarni ujrzałem, siedziało kilku młodych ludzi, postrojonych paradnie, z bukietami weselnemi na frakach. Między nimi rozpoznałem także młodego Szalborskiego.

W drugim powozie siedziało także kilku młodych panów cywilnych i wojskowych, tożsamo w strojach paradnych i z bukietami na piersi. Starego Szalborskiego ani w pierwszym ani w drugim powozie nie widziałem.

— To oni! — zawołałem, zrywając się z miejsca.

— Cicho! — szepnął Dyzma — bo znowu nawarzysz bigosu!

— Ha, pohańcy! dam ja wam wesele! — zawołałem w uniesieniu i chwyciłem za rękojeść szabli.

Tymczasem powozy oddaliły się szybko, nikt z jadących nas nie dostrzegł.

— Za nimi! — zawołałem — Dyzmo, spiesz się, bo dalibóg, gotówem ci w łeb wypalić!

I chwytając go za ramię, puściłem się za powozami. Nie chciałem puścić od siebie Dyzmy, bo obawiałem się, aby mi powozy gdzie na skręcie nie zgubiły się z oczu, a sam nie wiedziałem, gdzie ów dom przedmiejski się znajduje.

Kiedy tak szarpałem za sobą Dyzmę, ścigając wzrokiem powozy oddalające się w ciemnościach, ujrzałem, że się zatrzymały przed jakimś domkiem niedaleko od nas.

— Czy to tam? — zapytałem Dyzmę.

— Tam! — odpowiedział mój towarzysz, wyrywając mi się z rąk i drżąc od strachu.

Puściłem go, bo mi był już niepotrzebny i sam pędem pogoniłem ku powozom. Gdy ich już prawie dobiegałem, ujrzałem, jak brama w parkanie wysokim, który otaczał przedmiejski domek, otwarła się i jak powozy wjechały na podwórze.

Usłyszałem naszczekiwanie psa i zatrzaśnięcie bramy, którą zamknięto.

W kilka chwil dopadłem domku, zostawiając za sobą w tyle Dyzmę, który ostrożnie i boczkiem za mną postępował.

Stanąłem przed parkanem i zaczerpnąłem tchu do piersi, którego mi już nie stawało. Brama była zamknięta. Domek za parkanem był mały i nizki, na wzór miejskich dworków zbudowany, okiennice były pozamykane, tylko z otworów, które w nich były wyrznięte, biło jasne światło.

Nie miałem się co namyślać. Gdyby w domku ukrywała się była nawet cała brygada z działami, byłbym go szturmem dobywał.

Opatrzyłem pistolety, westchnąłem do Boga i dobyłem szabli, zawieszając ją sobie u dłoni. Potem podsunąłem się pod parkan, aby go przesadzić. Ledwie go stopą dotknąłem, usłyszałem zażarte szczekanie psa. Rzuciłem się jeszcze szybciej na parkan, bo bałem się, aby hałas ten nie zwrócił uwagi w domku i aby mnie nie uprzedzono.

Jednym prawie skokiem stanąłem na parkanie — ogromne czarne psisko powitało mnie wściekłem, zażartem ujadaniem.

Skoczyłem na dół, na podwórze, pies rzucił się na mnie z dzikiem warczeniem. Zaciekła to jakaś była bestya, miotała mi się do oczu, tak, że czułem gorący oddech paszczy. Byłby mnie poszarpał ten brytan okrutny, ale płatnąłem go przez łeb tak silnie szablą, że ledwie zaskowyczał i na ziemię się powalił.

Zrekognoskowałem podwórze, które z tej strony domku było puste i posunąłem się ostrożnie pod okna. Stanąłem pod jedną z okiennic i zaglądnąłem przez otwór do środka.

(Dokończenie nastąpi.)

ORA ET LABORA.

(MÓDL SIĘ I PRACUJ.)

Innym czas bieży, a z czasów kolei
Wykwita pokój i szczęście w nadziei;
Nam chwila rokiem — nas groby, całuny,
Smutne przyszłości witają zwiastuny.

Inni dziś mierzą przebieżoną metę,
Do nowych trudów znajdują podnietę;
Nam oczy, serca, jak harpije głodu,
Ssą z krwi nie oschłe pamiątki zawodu.

Ustać, jak słońcu, niepodobna w biegu,
Trudno przez fale dobić się do brzegu!
Co zdarzy chwila, to chwila zabierze,
Nie wchodzi prawda z obłudą w przymierze.

Nieunikniona walka światła z nocą,
Niezażegnany bój z nieczystą mocą.
Synom światłości oczyścić się trzeba;
Nic nieczystego nie wejdzie do nieba.

Pojony żółcią, piołunem karmiony,
Świadectwo prawdzie lud daje zelżony!
Znak to, że w pełnym ludzkości pochodzie
Twórca go dziejów postawi na przodzie.

Niezbadanemi Pan wiedzie go tory,
I czyści z winy, i uczy pokory,
Prości mu kroki, a gdy z drogi zbacza,
Karze, pokuty dalszy kres naznacza.

Bo tylko czysty wybrany być może,
By głosił prawdę i królestwo boże;
Przejść musi czyściec, odebrać chrzest krwawy—
Hetman po Bogu, rzecznik bożej sprawy.

Idźmyż! miłością i wiarą pancerni,
Choć się przed nami i za nami czerni;
Idźmy przez ciernie, pod krzyżem bez trwogi:—
Z drogi niewierni! samoluby z drogi!

Aby nie upaść, aby się nie spodlić,
Trzeba pracować i w Panu się modlić,
W modlitwie korzyć, w pracy stalić ducha:
Nie złamie mężnych losów zawierucha.

Przeciw robotom nieprzyjaciół krzywym,
Przeciw pokusom i radom fałszywym
Modlitwa z pracą bezpieczna zapora: —
Módl się i pracuj, *ora et labora.*

Dla zwyciężonych, po przegranej bitwie,
W pracy ucieczka a mądrość w modlitwie;
Z pracującymi wróg się nie upora: —
Módl się i pracuj, *ora et labora.*

Po tylu klęskach, które na kraj spadły,
Gdy ziemię świeże mogiły obsiadły,
I smutek cięży na sercu jak zmora: —
Módl się i pracuj, *ora et labora.*

Czyj duch rozmawia z Bogiem i z anioły,
Wiara mu krwawe osłodzi mozoły,
A serce w żalu rozbroi pokora:
Módl się i pracuj, *ora et labora.*

Szukaj jak lud on w źródle żywej wody,
W modlitwie, w pracy — zdrowia i ochłody,
Szukaj pokoju, póki jeszcze pora:
Módl się i pracuj, *ora et labora.*

Módl się, o! módl się w świata zawierusze,
Nie z rogów ulic, jak faryzeusze,
Lecz w duchu, w prawdzie wielbij Polsko Pana!
Ogniem anielskiej miłości rozgrzana.

I pracuj w Panu, nie jak najemnica,
Lecz jak w winnicy Pańskiej robotnica,
Pokorna w dobrej, wierna w złej godzinie,
Na wieki wieków i zawsze i ninie.

Gdy ziemie twoje zmienione w cmentarze,
Z krzyżem na piersi, z krzyżem na sztandarze,
Módl się i pracuj, a nie doznasz braku:
Znak to zbawienia, zwyciężysz w tym znaku.

Pracuj niepomna tego, co cię boli,
Módl się za ludzi dobrej i złej woli,
I nieprzyjaciół obejmij w ramiona,
Boś ty miłością Polsko! przepełniona.

Świętą twa ziemia wonią ogarnięta,
W każdej tkwi grudce relikwija święta,
Krew, co płynęła za wolność i wiarę,
Krew synów dajesz Panu na ofiarę!

Krew cię namaści na arcykapłaństwo,
Miłość wyniesie na boże hetmaństwo,
Promienna wiarą, co cię opuklerza,
Otworzysz dzieje nowego przymierza.

Bądźże cierpliwa na Pańskie zrządzenie,
By się spełniło twoje przeznaczenie.
W ciężkim ucisku, niezłamana losem,
Wołaj skruszonej pokutnicy głosem:

„Karz Panie! sługę, lecz zbliżaj do celu,
Gotuj zwycięztwo na nieprzyjacielu;
A cicha w pracy, w modlitwie bez pychy,
Zniesie bez skargi, co zsyłasz za grzechy.“

„Karz, jeźli zwątpi w twoje zmiłowanie,
A podnoś w piersi wiarę w zmartwychwstanie;
Zbrojna tą tarczą, niech wytrwa do końca,
Aż nowe zorze, nowe wstaną słońca.“

„Aż się przybliży i królestwo twoje,
Zniknie nienawiść i ustaną boje,
Zniżą się pyszni a podniosą prości,
I prawem będzie twój zakon miłości.“

„Aż Cherubiny Twego majestatu
Ogłoszą prawdy panowanie światu,
I pójdzie żywot ludów po zakonie,
I pokutnica zasiędzie w koronie.“

31. Grudnia 1865.

J. Zb.

WSPOMNIENIE O ODSIECZY WIEDNIA POD DOWÓDZTWEM JANA SOBIESKIEGO.

Pamiątka odsieczy Wiednia, dokonanej z pomocą hufców polskich pod dowództwem Sobieskiego, której rocznica setna ośmdziesiąta piąta w dniu 12. września roku bieżącego przypadła, nigdy nie przestanie być dla nas nader drogą; nigdy nie przestanie wzruszać serc polskich uczuciem naprzemian rozradowania i utyskiwania; nieprzestanie zwracać myśli polskiej na ówczesne i teraźniejsze narodu naszego stanowisko, z uwzględnieniem położonej wtedy przez Polaków dla dobra innych ludów zasługi, i ze wzbudzeniem dla widoku pożądanych obecnie zmian politycznych uzasadnionej otuchy. W tę rocznicę zwycięstwa pod Wiedniem nie o samej tylko walce wspominać przystało, która przyczyniła o jeden więcej dowodów, że nasz król — bohater i waleczni przodkowie nasi dzielnie zcierali zuchwałych najezdców, i stawili skuteczny opór gwałcicielom praw narodowych; lecz stosownem i przydatnem jest także wyjaśnienie powodów i pobudek tak wielkiego przedsięwzięcia, przytoczenie szczegółów, które dają poznać charakter i postanowienie mężów w tem dziele uczestnictwo mających, naostatek wykazanie ważności bezpośredniego, lub pośredniego onych wypadków, jako też połączonych z niemi okoliczności wpływu. Takie jedynie przedstawienie rzeczy odpowiada celowi temu, aby się porządniej w tem rozpatrzeć co się stało, gruntowniej zbadać jak się to działo, oraz skreślić przedmiot dziejowy w wyrazie niezamąconej prawdy i właściwego znaczenia. Zresztą gdy ten przedmiot jest podług znamienującej go cechy wiekopomnym, gdy następstwo odnoszących się do niego wynikłości zajmuje jeszcze i dzisiaj uwagę ludów, których interes był w owej sprawie objęty, przetoż dokładność przedstawienia wymaga znowu, aby uwydatnić to, co już jest w chlubnym rozgłosie z wdzięcznem uznaniem wywyższane, tudzież wytknąć to, co miało i ma być przez sumienno-polityczne uzupełnienie do rzeczywistości przywiedzione. Jeźli bowiem w zespoleniu osób pojedyńczych wzajemne obrachowywanie się co do sił, środków i działania, stanowi podstawę trwałości stowarzyszeń i doniosłości pożytków z tego związku pochodzących, toć i w zetknięciu narodów łączna ich działalność i zobopólne układy pociągają za sobą potrzebę ścisłego równoważenia, które wykazuje często rachunki do końca niedoprowadzone, o jakich dla tego corocznie wzmiankować wypada, iżby nieulegającą przedawnieniu powinność z tem dobitniejszym przypomnieć naciskiem, i ów niezałatwiony stosunek tego, co, komu, od kogo i w jaki sposób do ziszczenia pozostaje, dla wiedzy także powszechnej i skutecznego poparcia tem lepiej wyświecić.

Nie można należycie ocenić położonej przez Sobieskiego zasługi bez zastanowienia się nad niebezpieczeństwem, jakie podówczas zagrażało wielu państwom chrześciańskim, a najbardziej cesarstwu niemieckiemu i stolicy jego. Podług dokładnych świadectw w dziełach opisujących dzieje tureckie, przy odprawianym przez Mahometa IV. na początku wiosny 1683 roku przeglądzie wojska do wojny przeciw temu cesarstwu przeznaczonego, zgromadzonych było pod miastem Hisardschik, o mil ośm od Adrianopola, 275.000 orężników, nad którymi on powierzając dowództwo wielkiemu wezyrowi Kara Mustafa, przy podaniu mu do rąk chorągwi Mahometa rzekł z poruszającą podnietą: „Walcz mężnie i ścieraj nieprzyjaciół Alkoranu, abyś przez to uzyskał niewygasłą sławę na ziemi i najroskoszniejszy żywot w raju.“ Ta liczba niezmniejszyła się w pochodzie przez Węgry; albowiem zastępy jedynie powstańców narodowych pod dowództwem Tekelego miały do czynienia z oddziałami cesarskiemi w tym kraju, oraz opierały się tu i ówdzie przechodowi posiłków polskich do Wiednia. Cała ta siła zbrojna szerząc od granicy austryackiej pożogę i zniszczenie, zdążyła już 13. lipca pod Wiedeń, i rozłożywszy się w około niego na trzymilowej przestrzeni przecinała dowozy żywności, zapasów wojennych, tudzież związki wojskowe z każdej strony. Dla tej to przyczyny stan oblężonego miasta stawał się bardzo dotkliwym — zwłaszcza że dawały się jednocześnie uczuwać dwie straszliwe plagi — głód i łożna choroba, a do tego

łączyły się większe coraz spustoszenia w skutek ponawianych ciągle szturmów.

Cesarz Leopold, przygotowując się do obrony swojego państwa, powołał jeszcze w początku maja pułki związkowych księstw niemieckich do Węgier, i rozłożywszy takowe w pobliżu Preszburga pod Hilserfeld sam je musztrował i obliczał. Znalazło się tutaj 33000 zbrojnych, nad którymi dane było dowództwo książęciu Karolowi Lotaryngskiemu. Cesarz uznał za rzecz stosowną wzbudzenie w tych zastępach odwagi rozdarowaniem pół miliona złotych ryńskich; arcybiskup zaś Granu dla utwierdzenia w sercu obrońców chrześciańskich błogiej otuchy, obwieszczał tu udzielony im od papieża odpust zupełny. Jeszcze i z tej hufców zbrojnych liczby oddzielona była część na obsadzenie załogą twierdz Leopoldsztadu, Komorna, Raaby; a tak w miesiącu czerwcu stało na stopie wojennej tylko 12000 piechoty i 11000 jazdy. Siła ta zwiększyła się nieco przez poźniejsze oddziałów uzupełniających obowiązkowy poczet nadciąganie, tak, iż wojsko cesarskie pod Wiedniem w ostatniej potrzebie zgromadzone wynosiło 49000; stolicy zaś załoga liczyła 20000 zbrojnych, między którymi było 13860 wojska regularnego, a resztę stanowili ochotnicy ze wszystkich cechów miejskich z bronią różnego rodzaju, także akademicy pod naczelnictwem swojego Rektora, księdza Wawrzyńca Grünera kanonika wiedeńskiego; przyczem dostrzeganie obrotów nieprzyjacielskich zostało poruczone Jezuitom, którzy kolejno po dwóch wstępując na szczyt wieży ś. Szczepana dawali ztamtąd pisemne o ruchu wojska tureckiego oznajmienie.

Samo już zbliżanie się wielkiego wezyra do miasta nabawiło takiej trwogi jego mieszkańców, że bez dłuższego namysłu opuszczali swoje pałace, domy i handle, porzucając nawet kosztowniejsze ruchomości i niezbędne zasoby, dla których zabierania nie można było zadość wózow znaleść. Dnia 7. lipca wyjechał z Wiednia cesarz z całą świtą dworską i orszakiem dwóchset zbrojnych; a za cesarzem wynosili się także znakomici i nieznakomici panowie z taką nagłością, że przez ciąg 6 godzin bez przerwy powozy za powozami najspieszniej wyjeżdżały. Gdy w tym zamęcie bryki z żywnością dla rodziny cesarskiej nie mogły zdążyć za karetami dworskiemi, przeto na pierwszym z tej ucieczki noclegu w Kornajburgu cesarz i jego dzieci musiały poprzestać na wieczerzy z jaj gotowanych, a pięcioletni arcyksiążę Józef następca tronu, oraz młodsze i starsze arcyksiężniczki płakali na tak wielkie nieszczęście, że srebrnej zastawy stołu i zwykłych łakoci przed nimi nie było. Skoro zaś tej nocy cesarz postrzegł łunę gorejącego na bliskiej Wiednia górze klasztoru Kamedułów, już odtąd zmiarkowawszy, że nie bardzo bezpieczne było dla niego schronienie w Lincu, pomknął się ze swoim taborem aż do Passau. Za cesarzem niezwłocznie wyprawiono skarb dworski i tajemne archiwum rządowe; a gdy w tym przewozie chcieli takowe pochwycić Tatarzy a na innem miejscu umyślili dostać je w swoje ręce okoliczni włościanie, wtedy tak wielką okazali gorliwość pilnujący tych bogactw kassjer i strzegący tych dokumentów archiwista, iż prośbą, groźbą i przebiegłym obrotem zdołali uchować od zatraty to, do czego cesarz szczególniejszą przywiązywał wagę; za tak szczerą też przysługę zostali od niego obaj wyniesieni do stanu szlacheckiego wraz z potomkami swoimi na wieczne czasy. W dwóch dniach następnych wystąpiło z Wiednia 60000 ludzi, również i potem wielu mieszkańców udawało się na prowincyę, kiedy wydane było rozporządzenie takie, że ci którzy zostaną w stolicy, mają się zaopatrzyć żywnością na rok cały; w ten sposób przy zaczęciu oblężenia zostało tam już tylko 60000 ludności.

Zważmy teraz, jakie przeszkody miał do przezwyciężenia Sobieski, aby obrony Wiednia dokonać, i z jakiem samozrzeczeniem dokonał takowej. Największą podnietę do oporu przeciw temu zamiarowi dawały zabiegi dworu francuskiego, który dla upokorzenia i upadku cesarza starał się niedopuścić przymierza z królem polskim. Zręczny tych zabiegów kierownik, poseł francuzki w Warszawie Forbin biskup marsylski, potrafił wciągnąć do tego przeciwieństwa wielu panów litewskich i kilku dostojników rzeczypospolitej, między tymi Jędrzeja Morsztyna podskarbiego koronnego, nie wahając się używać do tego zamysłu środków nawet upodlających, mianowicie podchlebstwa, złudzeń, przekupstwa, a także ponętnych obietnic dla samejże rodziny Sobieskich — jak to było wyjaśnione w senacie, gdzie z rozkazu króla odczytano przejęte listy, jeden Forbina do Ludwika XIV., drugi Morsztyna do przyjaciela swojego, z których się wykryły podstępne tego to podskarbiego układy i dane przez niego zapewnienie, że on obali postanowienia senatu, zawichrzy obrady sejmowe i zmusi króla do odstąpienia od przymierza z cesarzem albo do niezwłocznego złożenia korony. W owem zgromadzeniu senatorów takiemi słowy uzupełnione zostało to oznajmienie ze strony Sobieskiego: „Forbin poważył się i dla mnie wiele złota przeznaczyć z poręczeniem następstwa tronu dla mojego syna, aby mnie od związku z cesarzem odciągnąć i wiarołomcą zrobić. Lecz ja wzgardziłem złotem, i pomijając interes mojej rodziny uwzględniłem jedynie dobro rzeczypospolitej; jeżeli ma być waszym królem jeszcze inny Sobieski, niechaj go do tego powołają głosy wolnego narodu. Poseł francuski wyrządza wam wszystkim zniewagę przedstawiając Polaków za naród przekupny, co czci i wiary nie ma; nie usprawiedliwiajmyż tak potwarczych zarzutów przez zerwanie zawartego z przyzwolenia stanów sejmujących traktatu takiego, jaki niechybnie zawrzeć by należało, gdyby jeszcze nie został potąd zawartym. Wszakże wiecie o tem, że zbrojna siła turecka coraz się dalej posuwa; skoro upadnie Wiedeń,

jakaż potęga zdołałaby ocalić Warszawę? O! bracia, okażmy to raczej przed obliczem Turcyi i całej Europy, że nie zbywa nam na przenikłości, na rzetelności i na uczciwości."

Stało się! Sobieski wybrał się na wyprawę wiedeńską, a chociaż podług sprawozdania zrobionego przez Forbina Ludwikowi XIV. król miał być ociężały i do osobistego w walce przewodniczenia nie sposobny, dosiadł jednak konia, i dla przyspieszenia pochodu, razem z hufcami swojemi po dziewięć mil codziennie w największej części jadąc na wierzchowcu przebywał; chociaż nie posiadający zadość funduszów na umundurowanie swoich żołnierzy wziął z sobą takich, którzy dopiero po niechybnem stłumieniu niewiernych mieli przybrać z tureckich sukni dostatniejszą odzież; chociaż dla taktycznego uderzenia na nieprzyjaciela od góry Kalembergu widział nadzwyczajne do przeprowadzenia dział trudności, przecież je tą stromą drogą podprzęgając husarskie wierzchowce i podpychając rękoma ludzkiemi na górę wprowadził; chociaż niedostrzegał w swoich zastępach zadość skłonnej chęci do przelewania krwi polskiej dla interesu cesarstwa niemieckiego, wzbudził w nich większy zapał i błogą otuchę temi, przed ruszeniem z góry Kalembergu do nich wymówionemi słowy: „Lubo na obcej walczycie ziemi, przecież walczycie także dla dobra waszej ojczyzny; męztwo, z jakiem będziecie bronili murów Wiednia, ubezpieczy też i Polski dzielnice." Sobieski rozrządzając oddaną pod jego rozkazy całkowitą siłą zbrojną Niemców, na najważniejsze i najniebezpieczniejsze punkta — jak to Helgstadt i Turecki szaniec, ze swoimi Polakami uderzał, i takowe przy niemałej liczbie krwawych pomiędzy nimi ofiar zdobył. Sobieski popierając sprawę bojową z duchem wielkomyślnego i szlachetnego bohaterstwa, dawał odpowiednio honorowi dowódzcy i podrzędnych takie rozkazy, aby tam szli z odwagą, dokąd ich król przewodniczyć im będzie; i rzeczywiście sam wszędzie im przodkował, a przytem także po pięćdziesiąt talarów za każdy wystrzał dział polskich, które z pośrodka parowów i krzaków były drągami na barkach artylerzystów przenoszone, ze swojej kassy płacił. Sobieski wreszcie natężając na wielu stanowiskach i w każdej chwili natarcie z takiem narażeniem się i taką wytrwałością, że wszystkie proporce polskie zostały pogruchotane, stłumił Turków, oswobodził Wiedeńczyków, uratował cesarstwo.

Po dokonaniu wiekopomnego dzieła, zwycięzca polski dla dokładniejszego przekonania się, jak wielką była ta, którą starł, nieprzyjaciół siła, i jak groźnemi były zrobione przez nich do dalszej rozprawy orężnej przygotowania, objeżdżał pospołu z dowódzcami niemieckimi opuszczony obóz turecki. Tutaj go nie wiele zastanawiały dośledzone podkopy, podłożone miny i mnogie do szturmu przyrządy — gdzie ich nieprzydatnemi uczyniło skorsze, jawne i stanowcze nieustraszonych dobrej sprawy obrońców działanie; nie podsycała w nim próżności, ani wbijała go w dumę uwaga na prędszy nad wszelkie spodziewanie poratunek ludu, który miał być w najbliższej chwili ujarzmiony i nadmiarem najprzykrzejszych klęsk dotknięty. Sobieski tylko wzruszył się boleśnym współudziałem, pojrzawszy na przywalony obozowemi gratami dębowy krzyż sześciołokciowy, przed którym hołdownik sułtana, książę wołoski Serwan Kantakuzen, i jego żołnierze przez ciąg oblężenia wiedeńskiego słuchali codziennie mszy św.; na żądanie też naszego króla ów krzyż miał być na tem samem miejscu, jako pamiętna oznaka wpływu prawdziwej wiary i jako przypomnienie władzcom obowiązku wydobycia ludów chrześciańskich z pod przewagi niewiernych, z poszanowną czcią wzniesiony. Rozweseliło się zaś oblicze Sobieskiego, gdy mu tutaj przyniesiono złote strzemię wezyra, w przynaglonej ucieczce przed napierającymi Polakami oberwane i zgubione; zaraz też posłał on takowe przez umyślnego gońca do głównego rzeczypospolitej grodu, aby tam służyło za oczewisty i ucieszny dowód łatwego i rychłego przy szczerej chęci, w niezbędnym czasie oswobodzenia ramieniem polskiem stolicy cesarstwa niemieckiego. Po tym objeździe zwycięzkiego pola nasz bohater trudami bojowemi znużony, zsiadłszy z konia w pobliżu bramy wiedeńskiej, po pod okopami się położył i o pochyły kamień głowę oparł. Była to dlań chwila swobodniejszego i milszego, niż zwykle wytchnienia — przez to, że ją szczerota poczciwej chęci, skromność zacnego obyczaju i wewnętrzny głos zadowolnionego sumienia nadarzyły; ale była to także, stosownie do twardego łoża i trudności położenia, chwila przemyśliwań i utęsknień — z powodu już to obecnych,! już to oczekiwanych, przywidywanych i wreszcie w dalszej przyszłości nieprzywidzianych narodu polskiego kolei; chwila to była smętna i całkowitą serca głębię przenikająca! To serce miłujące nad wszystko ojczyznę swoją trwożyło się, aby ów kamień nie stał się godłem będących — jak nie poruszony głaz na wstręcie nawet najsłuszniejszym narodu polskiego domaganiom — przeszkód i naprężonych przeciwieństw, dla których złamania potrzeba nie tylko mężnej prawicy, lecz także szczególniejszego hartu moralnego! Istotnie też to się sprawdziło w poźniejszych tego kraju losach. Polaków zostało to udziałem, aby się przejmowali głębokiemi krzyża męczeńskiego wrażeniami — z mocną w Bogu i dobrej sprawie wiarą; Polacy więc niechaj się zastosują do onych Sobieskiego wskazówek, aby przy podejmowaniu odpowiednich dobrej sprawie usiłowaniach, nigdy się nie chwiać i wcale nie ustępować, choćby przed trudnem do przełamania, jak skalista opoka, oporem.

Sobieski z żywą wiarą staropolską nadewszystko Boga jako wspomożyciela dobrej sprawy wielbiąc, składał Mu hołd dziękczynny w dwóch kościołach wiedeńskich; dla

religijnej zaś pamiątki posłał chorągiew Mohameta do głównej świątyni rzymskiej, a kilka sztandarów tureckich wraz z makatami namiotu wezyrskiego do katedry krakowskiej. Król szczodry w obdzieleniu trofeow, korzyści i łupów zwycięskich porozdawał piękne wierzchowce, świetne rzędy, kosztowne zbroje, jedwabne osłony, wytworne sprzęty, porcelanowe zastawy książętom, elektorom, jenerałom, waleczniejszym rycerzom; także dla cesarza na przymówki koniuszego nadwornego, dał dwa pyszne rumaki arabskie z bogatem siedzeniem — rubinami i szmaragdami przyozdobionem, z przyborem rzędu brylantami błyszczącego; dołączył też do tego wspaniały buńczuk wezyrski — odzywając się do otaczających go Niemców: „Chociażby już i dla mnie niestawało wierzchowców, którychmiałbym dosiadać, nie odmówię jednak przysługi dla cesarza, gdy na to jestem od nieba powołany, aby mi wszyscy byli obowiązani, a ja nikomu, tylko Panu Bogu samemu.“ Nieodrzucił zaś Sobieski przysłanej w podarku od cesarza dla królewicza Jakóba wąskiej szpady z pochewką djamentami wysadzoną, gdy przez to miała być skrypulatnym i misternym sposobem wyrównaną jakoby rachuba uczynności królewskiej i wspaniałomyślności cesarskiej.

Wszakże Sobieski z własnego znowu popędu kazał zawieść do arsenałów wiedeńskich zdobyte na Turkach 270 dział większych, kilkadziesiąt małych z całkowitym przyrządem, 200000 luf rusznicznych i muszkietowych, 20000 kul działowych, 18000 granatów, 1000 bomb, 4000 cetnarów ołowiu, 4000 cetnarów prochu w gotowych ładunkach, a 10000 cetnarów prochu w worach. Tak ogromne zapasy wojenne złożone tu zostały za wolą polskiego króla — jakoby w przechowku na czasy przyszłe, w pogotowiu na wypadki nieprzewidziane, a wątpić nie można, że podług widoków jego szlachetności i umiłowania swojej ojczyzny, były przeznaczone dla celów sprawiedliwych, dla odwetu należytego, dla obrony nie tylko od niewiernych najezdców, ale i od nieszanujących żadnej wiary, gwałcących wszelkie prawa wichrzycieli i ciemięzców postronnych; dla ugruntowania przed wszystkiem prawdziwego dobra tej rzeczypospolitej polskiej, która swojego rządcę, i tysiące synów swoich, w celu uchronienia narodu niemieckiego od barbarzyńskiej niewoli, ze szczerą chęcią wysłała, i z tej przyczyny ma niezaprzeczone prawo do wzajemnej odpłaty za tyle ofiar krwawych z pośród dwudziestu siedmiu tysięcy rycerzy, swoje piersi w cudzej sprawie, na dalekiem pobojowisku nastawiających, gdzie wielu pomiędzy nimi, jak to samych dowódzców podrzędnych stu, życie położyli i onej sprawie świetny tryumf zjednali. Na tej też podstawie może ona słusznie, i powinna śmiało dopominać się poratunku w każdej smutnej losów narodowych kolei, w każdem narzucaniu jarzma przez grabieżnych innostrońców; może i powinna jeszcze i teraz w tym najdotkliwszym stanie wyzucia z niepodległości, w ograniczeniu niezwykłemi i nieznośnemi działu karbami, z niezachwianą stałością domagać się usunięcia zdzierstw, pognębień, nękań, łudzenia zwodniczemi pozorami, iżby się zdołała na nowo podnieść do właściwego dla niej między samodzielnemi narodami stanowiska, i napowrót odzyskać pożądaną swobodę, oraz pełne chwały znaczenie! O! zaprawdę, to była rachuba Sobieskiego należycie uzasadniona, daleko sięgająca, i wiele zapowiadająca.

Nie możemy tu pominąć wspomnienia o tem, że nasz król w przysłudze także przyjacielsko-gospodarskiej dla Wiedeńczyków, zaopatrzył ich tą razą z zasobów tureckich podostatkiem chleba, mąki, krup, ryżu, mięsa i innych przedmiotów żywności—przyzwalając na zabranie dziesięciu tysięcy wołów, mnóstwa pak z kawą, cukrem, bakaljami; w przysłudze zaś towarzyskiej dla Wiedenek wprowadził do miasta wiele bardzo skrzyń z wyśmienitemi materyami wełnianemi i jedwabnemi, z tyftykami, szalami, kobiercami, dywanami, futrami, płótnami, niemniej też ze złotemi, brylantowemi, perłowemi ozdobami, które wieźli z sobą Turcy dla tego, aby je pięknym i urodziwym Niemkom narzucać z podejściem, przymusem i spodleniem; a Sobieski dostarczył ich nie tylko od przyrody uprzywilejowanym i powierzchownością łudzącym się, lecz i umysłowo-wykształceńszym, obyczajowo-stateczniejszym niewiastom bez żadnego widoku osobistego, bez przestąpienia granic przyzwoitości, bez zachwalania marnych ozdób i bez zachęty do zbytkownych wydatków.

Tyle więc rozmaitego dobra odsiecz Wiednia, dokonana przez hufce polskie pod wodzą Sobieskiego, nadarzyła mieszkańcom tej stolicy, cesarstwu i ludowi niemieckiemu. Zwycięzcy rycerze i król-bohater polski jakież odebrali za to zawdzięczenie, jakie znaleźli wreście między tymi, których ocalili, zasługi swojej uznanie? Ledwieby można uwierzyć, jakie to były onego zawdzięczenia, onego uznania objawy, gdyby o nich nie podała wiadomości piórem ta sama ręka, która pierwej szablą drogę do nieśmiertelnej chwały dla siebie i dla braci swojej torowała. Wierzymy przetoż niezaprzeczonemu świadectwu naszego króla, który oprócz cnót innych, miał także tę cnotę wzniosłą, że nie chciał w zbyt jaskrawem świetle przedstawiać nikczemności charakterów, na których zacność i dobrą wiarę rachował, i że za nic ważył sobie powierzchowne i obłudne względy od osób, nad które był prawością serca, wspaniałością umysłu i szlachetnością czynu o wiele wyższy.

Sobieski w listach swoich do żony wspomina, że arcyksiążęta ściskali go za szyję, elektorowie całowali go w gębę (kładziemy tu tchnące dobroduszną szczerotą w nieodpychaniu nawet tak niezwykłej poufałości i nadmiernej serdeczności arcyksiążęcej, wyrażenie królewskie); jenerałowie przysuwali się z pocałunkiem do rąk i nóg jego;

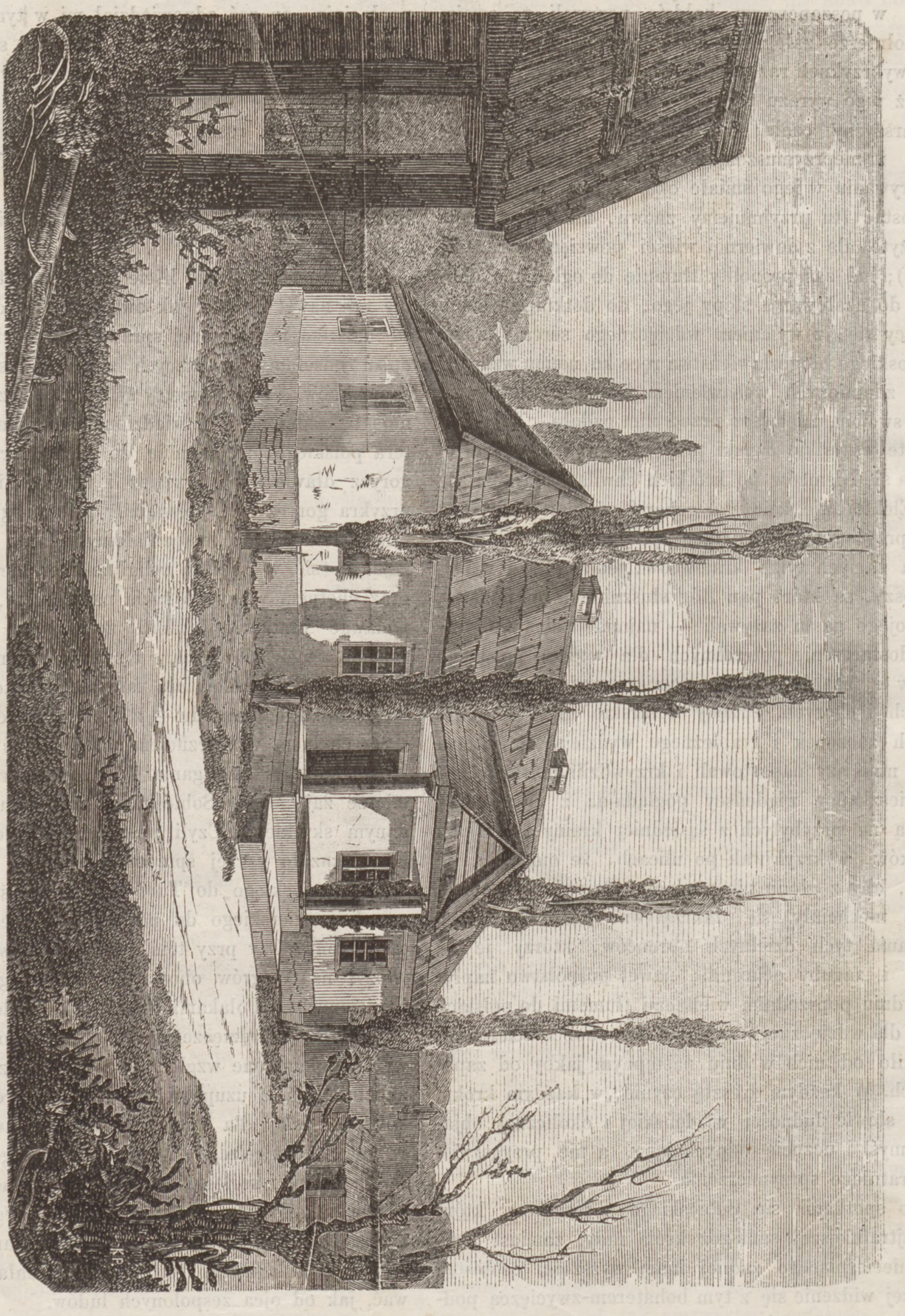
oficerowie wyższej i niższej rangi ze wszystkich regimentów cesarskich, elektorskich, książęcych dawali mu pochwały temi słowy: „O! to nasz dzielny król, jemu winni jesteśmy zwycięztwo nad Turkami!“; rajcy i mieszczanie tej stolicy w poszanownym hołdzie nazywali go swoim zbawcą; żołnierze załogi wiedeńskiej oddając mu honory wojskowe, wykrzyknęli raz jeden: wiwat! — lecz po raz drugi bali się już tego wyrazu użyć, dostrzegłszy zachmurzone swojej starszyzny czoła; dziewice i kobiety wiedeńskie z wesołym i nieprzymuszonym układem zachwycały się przy wpatrywaniu w jego śmiałe oko, piękne wąsy, i zajmującą postać (tu przyjmujemy znowu, nie przez króla naszego użyte, ale z dowiernej wieści powzięte wyrażenie żołnierskie); lud zaś pospolity tłumnie do oglądania oblicza jego, do ucałowania stopy jego, do dotknięcia sukni jego cisnący się, z wylaniem wdzięcznego serca i z życzeniem boskiego błogosławieństwa ręce ku niemu wznosił; wielu zaś zdumionych wybawieniem i niemal cudownem ocaleniem swojem, na twarz przed nim padało.

Lecz te wszystkie oznaki przychylnego i wdzięcznego zachowania się Niemców po krótkich chwilach całkiem się zmieniły. Elektorowie, książęta, generałowie, jak się wyraża Sobieski, przy sutych bankietach, przypuszczając do swojego grona samych tylko krajowców, jedli, pili, i wszelkich róskoszy, za które pan Bóg słusznie ich był pokarał, podług swojego gustu zażywali — najmniej się nie troszcząc o dostarczenie potrzebnych dla wojska polskiego prowjantów i furażów, ani o pomieszczenie i poratunek dla rannych i chorych. Urzędy cesarskie nie tamowały obraźliwych zaczepek i grabieżnego wydzierstwa, jakiem zuchwalce niniejszy napastowali i krzywdzili polskich żołnierzy. Mieszkańcy wiedeńscy poglądając z nienawistną zrządnością na przybyłych z sąsiedniej krainy rycerskich plemienników, wykrzykiwali po ulicach, że oni cisną się do miasta, aby z głodu nie poginęli. Dziewice i kobiety niemieckie niechciały się zakrzątywać koło należytego podejmowania tych dzielnych obrońców, którzy je od pohańbień i zaguby ochronili; nawet pospólstwo napływające w dniu poprzednim wielkiemi tłumami do polskich stanowisk dla wdzięcznego wysławiania oswobodzicieli swoich, stroniło od nich w dniu następnym jakby od zapowietrzonych. W każdym zresztą czynie, w każdym kroku, w każdem słowie ludności wiedeńskiej i okolicznej objawiały się myśl i uczucie odpychające, a nie przygarniające do bratniego sprzymierzenia.

Co do spotkania się Sobieskiego z cesarzem, który podług najtrafniejszej samegoż króla rady, zamiast ceremoniału niecierpiącego żadnej innej wyższości osobistej, obrał raczej widzenie się z tym bohaterem-zwycięzcą podczas objazdu obozowych stanowisk całkowitej siły zbrojnej, przytaczamy tu podobnież opis położony w onych to listach słowy takiemi: „Przywitaliśmy się z sobą dosyć ludzko; powiedziałem cesarzowi komplement z kilku słów po łacinie, on zaś odpowiedział mi w tymże języku dość dobremi słowami.“ Po tych niewielu słowach Sobieski z niewielkiem zadowolnieniem obróciwszy się na koniu i odkłoniwszy się wzajemnie, w inną pojechał drogę; a tylko wojewoda ruski, hetman Jabłonowski poprowadził cesarza do oglądania hufców polskich, które — „okrutnie były żałośne i głośno narzekały, że on im nawet kapeluszem za tak wielkie ich trudy i za poniesione straty nie nagrodził.“

Król nasz w tymże liście podaje niektóre szczegóły o nie tak nawet dobrze, jak owa rozmowa dobra, wiodącem się dalszem we wspólnej sprawie zetknięciu; do tego też opisu odsełamy pragnących zaspokoić swoją ciekawość czytelników. Tutaj powiemy tylko, że te szczegóły znamionują uzasadnione a zawiedzione oczekiwanie króla-bohatera polskiego, znamionują do kielicha radości dolewaną gorycz dławiącą; a przecież i ten dotkliwy zawód, i ta przykra gorycz nie sprowadziły go z drogi, jaką mu wytknęła szlachetność, wspaniałomyślność, i na jakiej z okazującem się w czynach religijno-liberalnem natchnieniem, oraz chętnem własnego życia narażeniem, nie przestawał podawać braterskiej dłoni uciśniętemu ludowi węgierskiemu, rugować niewiary i zcierać przemocy muzułmańskiej, która się zastawiała fałszywym pozorem wspierania interesów owego narodu — z dobrem wreście przekonaniem i przychylnem współczuciem uwzględniać słuszne pognębionej ludności domagania się. Czy szczere i czynne w tej mierze zajęcie się Sobieskiego zostało uwieńczone pożądanym skutkiem? Czyli pośredniczenie jego w tym razie nie wykazało raczej sprzeczności pojęć o stosunku państwa niemieckiego do Turcyi z jednej strony, a sprawy narodu węgierskiego do postępowania cesarskiego z drugiej strony? Czy przy tem wszystkiem ów współudział nie włożył na Węgrów obowiązku do stałego pielęgnowania wzajemnych z Polakami uczuć, i do należytego w stosownej porze odwdzięczenia się? Zarówno te, jak i one wyżej wspomnione względy, są zaiste przedmiotami nieuzupełnionych, a uzupełnienia doczekujących się obrachunków — z taką dla nas pocieszającą otuchą, że dzisiaj w obec zacniejszego i szlachetniejszego w cesarstwie austrjackiem i królestwie węgierskiem władcy, możemy się z temi zaległościami politycznemi na niego powołać, jak na rządcę w przyłączonych krajach, a mamy się też rychłego i sprawiedliwego tych zaległości załatwienia spodziewać, jak od ojca zespolonych ludów.

Domicjan Mieczkowski.



Dóm rodzinny Mickiewicza w Nowogródku.



Wieś Tuchanowice, miejsce młodocianych wspomnień A. Mickiewicza.

NOTATKI WĘDROWCA Z MUSU.

VI.

PIERWIASTKI LITERATURY FRANCUZKIEJ. RAPSODYŚCI. — ZONGLERY. — TRUBADURY.

WILHELM Z CABESTAING. KRONIKA XII. WIEKU.

„Staranie nasze zaczyna się z urodzeniem wodza. Arfa nasza spiewa mu dawne cnoty i do nowych zachęca. W pokoju, na wojnie, my przy nim. My weselim jego biesiady, my sny mu przywołujem i nie rzucamy go, aż pienia nasze zapłaczą w smutnym hołdzie nad jego trumną."

Walter Skot. Pani Jeziora. Pieśń VI—XI.
Przekład Sienkiewicza.

Często słodki miód sprosną truciznę ukrywa.
Owidjusz. Elegii miłosnych tłumaczenie Hulewicza. Ks. I. Eleg. X.

Gaulowie mieli swoich Bardów — zdobywcy ich, Frankowie, swoich Rapsodystów. Po nich nastąpili Zonglery [1]), opiewający, podobnie jak oni, świetne czyny rycerstwa — podobnie jak oni mieszający się w wojenną wrzawę, żeby pobudzać lub hamować zapał walczących, a żyjący kosztem możnych, których powiększali orszaki. Jednego dnia *Romansjery*, idący z harfą w ręku od kastelu do kastelu, dla uciechy dam i kawalerów; innego dnia szpiegi, wciskający się w obóz nieprzyjacielski dla rozpoznania sił i stanowisk; a zawsze szafarze chwały i wziętości — i z tego względu dobrze widziani, dobrze przyjmowani wszędzie.

Dawno już wiek ołowiany ludzkość przygniatał; wiarołomstwo, bezrząd i rozbój pogrążyły narody w przepaści klęsk wszelkiego rodzaju; a jakoby wyrabiając się do nowego stworzenia, wszystko fermentowało w tym chaosie. Gruba ciemnota X. wieku dopełniła miary społecznej nędzy; ale Grzegorz VII. wstrząsł światem, a następcy jego przedłużyli to wstrząśnienie w krwawych zapasach kościoła z cesarstwem. Rycerstwo otworzyło zawód bohaterstwa; niesłychany entuzjazm, pędząc Europę na Azją, połamał szranki przegradzające ludy; barbarzyństwo weszło w nowe z cywilizacją zapasy; a z tych wszystkich żywiołów ucisku i mordu, okrucieństwa i bezrządu, wytrysnęły cnoty społeczne i wykwitły kunszta. Po Zonglerach nastąpili Trubadurowie.

[1]) Jongleurs. Pierwsi Zonglery samem tylko nazwiskiem różnili się od Bardów. Spiewali poemata, obejmujące niekiedy do 20.000 wierszy i zwane spiewami czynów (chansons de gestes). Zmieniali się w spiewie; podziały takowe nazywano gałęziami (branches). Poźniej przedstawiali sceniczne utwory, tak zwane tajemnice i cuda (mysteres et myracles). Dwór, panowie i klasztory utrzymywali ich na swoim żołdzie, a odtąd Zonglery spadli do rzędu prostych jarmarcznych kuglarzy (baladins).

Pierwsi spiewali wojenną chwałę i krwawe jej przynęty; drudzy opiewali miłość i rozkoszne jej zachwyty. Tamci pochlebiali burzącym żądzom ludzi pół-dzikich, drudzy ugłaskali ich dzikość. Żelazo, krew, śmierć, były okrzykami pierwszych; miłość, nadzieja, szczęście były okrzykami drugich. Rapsodyści, Bardowie, Zonglery przemawiali do namiętności, Trubadorowie przemówili do serca; a jakoby unużeni ciągłym stanem mordów, ludzie zaczęli tęsknić za łagodniejszem uczuciem, i mowa Trubadurów zrozumianą przez nich została. Od owej pory zaczęto pojmować słodycz przyjaźniejszych stosunków; miłosne spiewy pierwszych Trubadurów, pełne rzewnej szczeroty, wzruszyły serca zamknięte na wszelką czułość; słodkie uciechy, szczęście domowe nabierały ceny; powszechne unużenie, a więcej może powab nowości, sprowadziły zupełną obyczajów zmianę.

Pod pięknem niebem, w kraju hojnie uposażonym przez przyrodę, gdzie ciepło klimatu podnieca umysł nie unużając zbytecznie ciała, zamiłowanie poezyi musiało być żywsze, niż w innych okolicach, musiało być płodniejsze w utwory. Tak się też stało w prowincyach południowych Francyi, znanych pod ogólnem nazwiskiem Prowancyi; bo język prowancki, *la langue d'oc* był im wszystkim wspólny.

Lubo pierwszy znajomy Trubadur, Wilhelm IX. z Poitou, książę Akwitanyi, zasłynął dopiero w XII. wieku, wątpić atoli nie można, że licznych poprzedników mieć musiał. Wdzięki jego stylu dowodzą już wypolerowanego kunsztu. Od niego przecież naznaczają epokę prowanckiej poezyi, bo w owym czasie poezya ta, szybki biorąc polot, wcisnęła się na dwory, stała się rozkoszą i podziwem większej części Europy. Wkrótce też pomnożyła się liczba owych poetów, zrazu Truwerami, Trobadurami, poźniej Trubadurami zwanych: nazwisko prawdziwie odpowiednie

geniuszowi, bo oznaczało w pierwiastku swoim dar wynalezienia, od słowa *trouver*. Przykład takiej znakomitości, jaką był książę Akwitanji, obudził werwę i współzawodnictwo innych. Wielu książąt i możnych baronów ogłosiło się opiekunami pięknego kunsztu. Dwory ich i zamki ściągały zewsząd spiewaków, otworzyły im swoje skarby, przynęcały swemi uciechami, i więcej nad nie głaszczącą wziętością [2]) kobiéty, których wysławiali urodę i zasługę, podejmowały ich z uprzedzającą hojnością, a niekiedy z żywszem uczuciem.

Poeci zaczęli pożądać dostojnych względów, zaczęli się ubiegać za chwałą, ale nie wszyscy jednemi jej dostępowali środkami. Jedni wysławiali się z wytwornością i wdziękiem, drudzy z jędrnością i mocą; jedni wydoskonalili mechanizm wiersza, drudzy potworzyli nowe rodzaje poezyi; jedni ogładą swoją budzili spółczucie, drudzy zmyślenie moralizacyą krasili. Smak przestał być niewolnikiem czołgającej się rutyny, szedł za postępem wyobrażeń, a obejmując rozmaitość nieznanych dotąd przedmiotów, urozmaicał zarazem rodzaje utworów, które dotąd niepłodna jednostajność spospolitowała. Fantazya sprzemierzyła się z dowcipem, zaroiły się piosnki: *nowelle* czyli powieści; *syrwenty* czyli historyczno-satyryczne pieśni; *pasturelle*, rodzaj zalotnych sielanek, *tensony* (*jeux-partis*) dyalogi w kolejnych zwrotkach, w których dwaj Trubadurowie zaczepiali się nawzajem i odpowiadali sobie, najczęściej w przedmiotach zalotności.

Te pieśni Trubadurów są nietylko szacowne jako literackie pomniki, ale nadto są bardzo zajmujące pod względem historycznym, bo ówcześni poeci byli zarazem malarzami społeczności. To co widzieli, to co słyszeli, wielkie wydarzenia spółczesne, panujące zwyczaje, górujące opinie, wrzące namiętności, miarkowane rozlicznym sposobem, stanowiły naturalnie istotę i ozdobę ich utworów. Objawia się w nich nadewszystko ta gorąca i porywcza waleczność, cechująca naród, i ta rozgłośna galanterya, będąca jednym z głównych bodźców działalności społecznej we Francyi. Jej to przypisać należy to dziwne ustanowienie s ą d u m i ł o ś c i (*cour d'amour*), w którym piękne damy, zasiadłszy pod rozłożystym wiązem (*ormel*), wyrokowały poważnie o przewinieniach kochanków. Żadna potęga nie byłaby śmiała przełamać wyroków tego sądu, niedopuszczających apelacyi. Zmiennicy i zwodziciele lękali się jego śledztwa; a sądy miłości takiej nabyły sławy na stałym lądzie, że królowie nawet ubiegali się o zaszczyt zasiadania w nich w stopniu k s i ą ż ę c i a m i ł o ś c i (*prince d'amour*) czyli prezydenta, sprawowanym kolejno przez cesarza Fryderyka, króla Ryszarda, delfina Owernii i hrabiów Prowancyi. Radcy tego osobliwego parlamentu wybierani byli z pośród dam, słynących najwięcej ze swoich wdzięków i dowcipu. Pisarze, których obowiązkiem było, w skutek otrzymanego zażalenia wydawać pozwy na dzień naznaczony, przybierali tytuł s t r a ż n i k a m i ł o ś c i (*viguier d'amour*).

Trubadurowie, którym dawano przydomek m i s t r z ó w w e s o ł e j u m i e j ę t n o ś c i (*maitres du gai savoir*), uprzyjemniali swojemi powieściami i spiewami trzy wieczory, poprzedzające posiedzenia sądu miłości; a z pomiędzy poetów, najwięcej podówczas używających wziętości, przytoczyć można: hrabiego z Poitou, Adenesa k r ó l a, (*Adenes le Roi*), Hugona z Penny, Ryszarda L w i e - s e r c e, Blondela i Pensawina, przyjaciół Ryszarda, Ganselma Fedita, a mianowicie Piotra K a r d y n a ł a (*Pierre-Cardinal*).

Historya Trubadurów przecież niebardzo jest długa, bo wziętość ich, która się zaczęła w XII. wieku, niebawem przygasła, kiedy przy końcu XIII. wieku genjusz Danta podniósł wartość włoskiego języka, a Petrarka i Bokacyusz sławy jego dopełnili. Trubadurowie i ich język poszli w zapomnienie. Francya jednak miała jeszcze kilku celniejszych poetów, a na ich czele hrabiego Szampanii (*Thibaut de Champagne*). Pracowali oni wszelkiemi siłami nad rozszerzeniem, wyrobieniem i zbogaceniem narodowego języka. Trubadurowie, których grono zapełniło się tłumem ludzi bez charakteru i bez zdolności, znikli zupełnie w XIV. wieku. Rozwiązłość ich doszła do tego stopnia, że ich nie raz haniebnie z kraju wyganiać musiano.

Bo też z początkiem XIII. wieku zmienił się bardzo stan rzeczy. Zalotność była zawsze na porządku dziennym, ale cześć dla kobiét inny przybrała charakter. Nie byłto już ów sentymentalizm wieków poprzednich, owa rycerska miłość, wylewająca się duszą i ciałem dla kochanki, służąc jej jakoby bóstwu, bez innej nagrody, prócz łaskawego przyzwolenia z jej strony na tak czyste hołdy. Miłość Trubadurów stała się więcej wymagającą. Upojone hołdem, uwieczniającym niejako ich wdzięki, damy nie miały siły odmówić słusznej nagrody; zalotność stargała wędzidła powinności i wstydu; zmysłowość zawładnęła sercami, a jawna rozpusta, podobnie jak sentymentalizm dawnych paladynów, miała swoich wyznawców, adeptów, miała też i męczenników.

Następująca kronika najlepszym, acz nierzadkim jest tego przykładem.

. . . .

Noc była posępna i chłodna, jak zwykle w jesieni; a u podnóża tarasu, zamykającego zwierzyniec starego

[2]) W bibliotece cesarskiej w Paryżu jest rękopis Trubadura, bawiącego na dworze króla cypryjskiego. Nie pomnę już nazwiska. Był on z panem swoim w Krakowie, na weselu wnuczki Kazimierza W. Nie zaniedbał zapisać w pieśni swojej doznanych tam wrażeń; a na końcu powiada:

Widziałem cały ten przepych godowy,
Patrząc na wszystko oczyma mej głowy.
(J'ai vu toute cette fete
Des yeux de ma tete.

zamku, młody Trubadur spiewał, przygrywając na wioli. Głos jego był pełny i czysty; a słowa płynęły z ust jego namiętne, ogniste.

Na tarasie, ukryta za krzakiem, młoda i piękna dama słuchała w milczeniu zadumana, a słuchając poiła się miłosnym zachwytem. Trubadurem był Wilhelm z Cabestaing; damą, Małgorzata z Castel-Russillon.

— Kto jesteś, gładki Truwerze, ty co tak dobrze miłość opiewasz? — zapytała drżącym głosem Małgorzata.

— Jestem czcicielem bóstwa, które opiewam, piękna damo — odrzekł Wilhelm.

— Jeżeli mu tak dobrze służysz, jak mu dobrze spiewasz, szczęśliwa twoja dama.

Westchnienie było odpowiedzią Wilhelma.

— A gdyby jaka dama miłość ci swoją poznać dała — rzekła po chwili milczenia Małgorzata — śmiałżebyś ją kochać?

— O! bez wątpienia, pani; byleby ta oznaka zawodną nie była.

— Na Boga i sługę jego świętego Jana, mówisz jak dzielny chłopiec; a ja chcę się przekonać, czy równie dobrze działasz, jak dobrze mówisz i spiewasz.

I nie czekając na odpowiedź Wilhelma, pobiegła do sali zamkowej, gdzie hrabia Rajmund, jej małżonek, zasiadłszy w obszernem krześle z herbownem wezgłowiem, słuchał z uwagą swojego kapelana, czytającego jakiś rozdział pisma świętego.

— Dostojny panie i mężu—rzekła do niego wchodząc— stoi pod murami zamku Trubadur, który tak dobrze miłość opiewa, że prawdziwie litość bierze zostawić go na dworze.

— Każ mu wejść zatem, moja miła; zobaczymy, czy tak dobrze spiewa, jak ty mówisz.

Pani Małgorzata dała rozkaz paziowi, i wkrótce potem wprowadzono Wilhelma. Wilhelm spiewał; zdaje się, że miłość spiewy jego natchnęła, głos jego i oczy wymownym jej były tłumaczem. Wzruszona, upojona hrabina zapłaciła mu czułem wejrzeniem, zachwycony hrabia udarował go złotym łańcuchem, wiszącym na jego piersiach i mianował go giermkiem swojej żony.

Wzajemna miłość zbliżyła Małgorzatę i Wilhelma; romansowa ich skłonność, poczęta w zalotnictwie, zamieniła się w niebezpieczny związek. Rajmund wpadał w podejrzenie; zazdrosny i okrutny chciał je wyświecić i zemścić się, jeżeliby ugruntowanem było.

Pewnego dnia, dowiedziawszy się że Wilhelm polował sam z sokołem, ukrył oręż pod swoim *gambassonem* [3]) i wyszedł naprzeciw niemu.

— Tyżeśto panie! — zawołał ujrzawszy go Wilhelm — dlaczegoż sam?

— Bo chciałem cię widzieć — odpowiedział Rajmund.— Jakże polowanie?

— Nie najlepsze, nie znalazłem nic prawie; a jak mówi przysłowie: „Kto mało znajduje, nic nie upoluje.“

— Bardzo dobrze — rzekł zniecierpliwiony Rajmund — dosyć o tem! A teraz odpowiadaj, jak na rzetelnego i prawego sługę przystało.

— Jeźli to jest rzecz, którą wyjawić mogę, nic ukrywać nie będę.

— Bez warunków, wymagam prawdy, o co bądź zapytam.

— Rozkazujesz panie; odpowiem według sumienia.

— Na Boga i na twój honor! — zawołał Rajmund wpatrując się w niego — czy miłość wiersze twoje natchnęła?

— Mógłżebym spiewać, gdybym nie kochał?

Rajmund zagryzł wargi.

— A miłość twoja nie jestże idealną, jak miłość tobie podobnych? — zapytał po chwili.

— Zaprawdę nie; miłość owładnęła mnie całego.

Rajmund pobladł z gniewu.

— A cóżto jest za dama, którą opiewasz?—pytał dalej drżącym głosem.

— Przebóg! Panie, jak możesz pytać o to? Nie można bez wiarołomstwa zdradzać nazwiska kochanki. Azaliż Bernard z Ventadour nie powiedział: „Jeżeli ci, którzy miłość moją szpiegują, spytają o nazwisko mojej ulubionej, jako prawy kochanek tym tylko tajemnicę moją powierzyć mogę, którzy mi radą i pomocą być mogą.“ Wierność, przynależna swojej damie, na tem polega, żeby jej powiedzieć wszystko, a nic o niej nie mówić.

— Dobrze więc! przyrzekam ci radę i pomoc, jakibądź jest przedmiot twojej miłości. A teraz wymień ją— przydał Rajmund z udanym spokojem.

Tak przyparty Wilhelm uczuł potrzebę oszukania Rajmunda. Wyznał tedy, że kocha panią Agnieszkę, siostrę Małgorzaty; a tem kłamliwem wyznaniem rozpędził troski hrabiego. Rajmund w uniesieniu radości przyrzekł mu swoją pomoc i sam towarzyszyć mu przyobiecał do zamku Roberta z Taraskony, męża Agnieszki.

Wilhelm nie mógł odrzucić tej posługi; udali się zatem w drogę natychmiast, nie uprzedziwszy Małgorzaty.

Zaledwie przybyli na zamek Roberta, Wilhelm pospieszył wyznać wszystko Agnieszce — i miłość swoją i podejrzenia Rajmunda i wybieg na koniec, na który zdobyć się musiał.

Równie pobłażliwa jak hrabia, Agnieszka nie znalazła nic nieprzyzwoitego w tem wyznaniu. Podobnie jak on usłużna, przyrzekła Wilhelmowi, że nic nie zaniedba uczynić, coby do odwrócenia podejrzeń Rajmunda posłużyć mogło. I rzeczywiście tak sobie postąpiła zręcznie, że po krótkim pobycie w zamku Roberta, Rajmund odjechał ucieszony, wesoły i przekonany o wzajemnej skłonności

---

[3]) Zwierzchnia suknia dawnych rycerzy.

Agnieszki i Wilhelma. I nie ociągał się też z powierzeniem Małgorzacie tej niby odkrytej przez niego tajemnicy.

W pierwszej chwili, strwożona Małgorzata niewiarą kochanka, wkrótce przez niego samego uspokojoną była. Miłość jej pochwalała wybieg, próżność kobiéca zgodzić się z nim nie mogła. Zmusiła Wilhelma do wyznania w nowej pieśni, że ją kocha i ją tylko jedną. Posłuszny był Wilhelm, napisał pieśń i według zwyczaju ówczesnych poetów, przypisywania mężom wierszy, ułożonych na cześć żony, złożył ją hrabiemu Rajmundowi.

Wściekły Rajmund nie wątpił już o niczem; oszukany tchnął zemstą. Pod błahym pozorem wywiódł Wilhelma z zamku, zabił go, uciął mu głowę, wydarł serce, zalecił kucharzowi, aby to serce jak zwierzynę przyrządził i podał je na stół Małgorzacie.

Wolna od wszelkich podejrzeń Małgorzata spożyła serce kochanka.

W całym ciągu tej okropnej uczty, hrabia stał przed żoną, nie spuszczał jej z oka, a ta jedząc, uśmiechała się do niego.

— Czy wiesz, coś dopiero co jadła? — spytał wreście Rajmund z tem gorączkowem wysileniem, jakie dokonanej zbrodni towarzyszyć zwykło.

— Nie, mój miłościwy panie.

— A czy dobre było?

— Wyśmienite.

— Bardzo wierzę — krzyknął Rajmund z szatańskim śmiechem — słuszna jest, abyś smakowała w tem po śmierci, coś tak żyjąco kochała.

I ukazał jej głowę Wilhelma, którą dotąd ukrywał.

— Oto głowa tego, któregoś serce spożyła przed chwilą. A teraz, czy powtórzysz, że dobre było? Wiarołomna!

Na ten widok, zgroza stłumiła wszelki wyraz w piersiach Małgorzaty; ale po chwili, wlepiając wzrok obłąkany w ukochaną głowę, wyrzekła z całą energią rozpaczy:

— Tak było dobre, że nic już odtąd innego w życiu jeść nie będę.

I dotrzymała słowa — umorzyła się głodem [4]).

W czasach, w których miłość samowładnie rządziła sercami, wypadek tak tragiczny musiał sprawić głębokie wrażenie i do odwetu pobudzić.

Jakoż kochankowie i kawalerowie okoliczni sprzysięgli się przeciwko Rajmundowi. Pochwycono go, uwięziono i zamek jego zburzono; a ciała Małgorzaty i Wilhelma złożono razem w grobie, w jednym z perpiniańskich kościołów. Na grobowym głazie wyryto ich tragiczną przygodę.

I każdego roku, w tymże samym dniu, wszyscy kochankowie z Serdań *(Cerdagne)*, Russyljonu i Narbońskiej ziemi słuchali mszy żałobnej za duszę Małgorzaty i Wilhelma. Uroczystość ta postanowioną była za rozkazem króla Arragonii; a tak pomiędzy innemi nadużyciami XII. wieku, kościoł osłaniał i uzacniał świętością swoich obrzędów rozpustę występnej miłości.

---

[4]) To zdarzenie przypisywano błędnie panu de Coucy i damie de Fayel; przypisano je również pewnej damie de Lavergier; jakiemuś księciu Salerny we Włoszech; jakiemuś margrabiemu Astorgas w Hiszpanii; z tem wszystkiem podanie o Wilhelmie z Cabéstaing najwięcej jest do prawdy podobne, a poświadczone dorocznym kościelnym obchodem.

Ksawery Godebski.

O TROSKLIWOŚCI ZWIERZĄT

W PIELĘGNOWANIU SWEGO POTOMSTWA.

Szczęśliwem czuje się niemowlę w objęciach matki, i podobno nigdy w życiu lepiej mu nie będzie jak wówczas, gdy na jej łonie spoczywa. Ta opieka macierzyńska jest mu nadto tak nieodbicie potrzebną, że bez niej ani chwili nie byłoby pewnem życia. Ale i zwierzęta przez pewien czas po urodzeniu nie obejdą się bez opieki macierzyńskiej i ginęłyby marnie, gdyby jej nie miały. Owszem tylko opatrznej zapobiegliwości matek, tylko ich niepojętemu instynktowi, który często zdaje się równać macierzyństwu u ludzi, zawdzięczają młode zwierzęta, że nie giną z głodu i nie stają się wszystkie pastwą innych żarłoczniejszych od siebie istot.

Troskliwość i zapobiegliwość zwierząt w wychowywaniu potomstwa, to najważniejsza i najpiękniejsza strona ich życia. Jedne pielęgnują swoje młode, póki nie podrosną, nie nabierą sił i nie dójdą do zupełnej samodzielności; drugie zaraz z początku zostawiają je samym sobie, ale pierwej z zadziwiającą przezornością przygotowują to wszystko, co im do życia będzie potrzebne, a usuwają to, coby im szkodzić mogło. Ileż tu przykładów poświęcenia, niezrównanej wytrwałości i roztropności godnej zaiste największego podziwienia.

Przejdźmy w myśli liczne klasy i rzędy świata zwierzęcego, od istot najdoskonalszych aż do najmniej wykształconych. Widzimy tu nieskończenie wielką rozmaitość organizacyi, potrzeb i warunków życia. Widzimy też, że i młode nie w jednakowym stanie na świat przychodzą. Nieskończenie wielką jest też rozmaitość stopnia i kierunku uczuć macierzeństwa u zwierząt, pominąwszy nawet odmienności indywidualne, szczególnemi okolicznościami spowodowane, które wprost zaprzeczają naszym ciasnym pojęciom o instynkcie. W ogóle jednak całe gromady zwierząt wio-

dących jednakowy sposób życia, posiadają to uczucie w tym samym stopniu; a jeżeli warunki życia są te same, to i macierzyństwo objawia się prawie jednakowo.

Któż nie wie z jaką czułością lis i liszka troszczą się o dobro swojej rodziny, z jaką zapobiegliwością starają się o pożywienie dla młodych, a gdy z niemi igrają jakie im okazują przywiązanie? Kot przeciwnie pożera swoje młode a przynajmniej zdradza pociąg do tego. Aby je ocalić kotka musi ukrywać przed nim gniazdo, i dla tego to dopóki karmi młode, nigdy wprost do gniazda nie idzie, lecz kołuje i poprzeczne wybiera drogi; gdy zaś ujrzy, że jej tajemnica jest zdradzona, broni zajadle dzieci swoich przed natarczywością wyrodnego ojca. Później jednak, przynajmniej dzikie koty, prowadzą życie towarzyskie. Sam ojciec igra z młodemi i zaprawia je do łowów. Kotka tak jest przywiązaną do swoich dzieci, że gdy ich bronić trzeba — szalona jej odwaga nie zna granic, i nie ma niebezpieczeństwa, któregoby się ulękła. Biada psu, któryby się poważył najść legowisko kociąt.

Jak daleko sięga instynkt macierzyństwa u kotów, wspólny zresztą wszystkim zwierzętom tego rzędu, może posłużyć za dowód rzadki egzemplarz kotki jeszcze żyjącej, o której z wiarogodnego źródła następującą odbieramy wiadomość: „Ta z kocięcia przed kilku laty w domu naszym wychowana, jest bardzo łagodnego charakteru, a tak przywiązana do osób naszą rodzinę składających, że gdy wychodzimy to i ona zbiega po schodach za nami aż do samej bramy, wyjrzawszy wszakże na ulicę, widocznie zlękniona sama napowrót spieszy do mieszkania; idącej jednak do piwnicy swej pani, do której najwięcej przywiązana, zawsze wraz z suczką towarzyszy, a miauczy przeraźliwie, jeżeli sama zostanie. Często się zdarza, że przy jednej połowie okna stawiamy kanarka w klatce, a przy drugiej połowie kotka wygląda sobie na ulicę lub najspokojniej zasypia; a chociaż niekiedy i parę godzin sama tylko w domu z ptakiem zostaje, to przecież ani jemu krzywdy nie wyrządzi, ani na śmietanką w garnuszkach, ani na pozostałą potrawę nigdy się nie złakomi. Kiedy miała kocięta, wtedy dostaliśmy szczenię, jeszcze za swoją matką nieodtęsknione; jakże wtedy wszyscy byliśmy zdziwieni widząc, jak kotka troskliwie zajęła się tem psiątkiem i karmiła je wraz z swym własnym płodem, a później za swoją wychowankę uważała. Pieszczotki, figielki, wylizywania zawsze były i są dotąd na porządku dziennym, i to od trzech lat prawie bez zmiany. Gdy szczenię wyrosło na powabną suczkę, zdarzyło się później, że kotka i jej wychowanka w jednym prawie czasie miały potomstwo. A choć wprzódy osobne dla kotki usłano legowisko, ona jednak poprzenosiła swoje małe do koszyka, gdzie się jej wychowanka ze swoim płodem mieściła, i tu jak najzgodniej obie matki pielęgnowały swoje młode, tak nawet, że gdy się jedna oddaliła, druga zostawała jakby na straży, nie dając zbliżyć się obcemu ani do swego ani do przyjaciółki potomstwa; kotka nawet niekiedy przyciągała pod siebie nóżką szczenięta dla nakarmienia ich, czemu jednak suka była przeciwną. Jakkolwiek obie matki wielkie okazywały przywiązanie do swego płodu, zawsze jednak kotka dłużej i jeszcze troskliwiej swe dzieci pielęgnowała, a nawet i cudze, bo suczkę z szczenięcia wykarmiła i ciągle ją za swoją wychowankę poczytuje“.

O nietoperzach nie wiemy z pewnością, czy błona, którą mają pomiędzy tylnemi nogami, jest także pierwszą ich dzieci kolebką. ale to pewna, że je nią troskliwie okrywają. Wiadomo także, jaką im okazują miłość, gdy je biorą z sobą na nocne wycieczki. Toż samo widzimy u małp, które zawsze z namiętnem uniesieniem dzieci swoje przyciskają do łona, a w razie niebezpieczeństwa z trwogą największą unoszą je w miejsca zaciszne.

Z zadziwiającą zręcznością a jeszcze większą troskliwością przysposobiają zwierzęta czworonóżne miękkie dla swoich młodych łożyska. Gniazda myszy mogą iść o lepsze z najsztuczniejszemi gniazdami ptasiemi. W ogólności nadzwyczajna zmyślność wielu istot świata zwierzęcego, jużto w zastosowaniu się do rozmaitych okoliczności już w zręcznem korzystaniu z nich, nastręcza badaczowi obszerne pole do wielu zajmujących poszukiwań. Gdyby się więc znalazł drugi Audubon, co by tak jak on zbierał postrzeżenia w puszczy i wtajemniczył się w życie zwierząt czworonóżnych, dopóki są na wolności, mielibyśmy sprawozdanie nieocenionej wagi.

Sakwa na brzuchu u dydelfa długo jest dla jego młodych kryjówką. Tam im najmilej i tam najbezpieczniejszemi się czują. Gdy w razie niebezpieczeństwa matka zabiera się do ucieczki, ostrzega młode i nagli, aby czemprędzej powłaziły do sakwy. Jakże to zabawny widok, gdy po niejakim czasie z dziecinną ciekawością wystawiają głowy i chowają ją prędko, jeżeli niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

U zwierząt drapieżnych, skutkiem ich sposobu życia wykształciło się do pewnego stopnia poszanowanie dla stosunków rodzinnych. Dla tego też troskliwość matek o młode przedstawia się tu wybitniej, niż u zwierząt roślinożernych. Młode z początku do łowów za słabe i niezręczne bardzo pomału odwykają od mleka macierzyńskiego, i długo zostawać muszą pod władzą matki, nim się wyuczą wszystkich tych chytrych i podstępnych sztuczek, które w dalszem życiu mają się stać ich rzemiosłem. Matka z godną podziwienia troskliwością przestrzega pilnie, aby nauka postępowała stopniowo i systematycznie.

Ptaki pod względem rozwoju władz przy wykluwaniu się z jaja dzielą się na dwie, zupełnie odmienne klasy. Jedne bowiem wychodzą z jaja o tyle wykształcone, że mogą jeść zaraz bez pomocy rodziców i prawie mogłyby się obejść bez ich opieki, gdyby nie to, że są jeszcze

zbyt wątłe i słabe i nie posiadają dość roztropności, aby mogły obronić się nieprzyjaciołom lub ujść przed nimi. Należące zaś do drugiej klasy tak są niedołężne, że potrzebują koniecznie czułej, nieustannej i bardzo długo trwającej opieki; a choć nawet podrosną o tyle, że mogą już wylatywać z gniazda, jeszcze same sobie nie wystarczą nieumiejąc wynajdywać pożywienia.

Różnicę pomiędzy temi dwoma klasami stanowi już sam sposób budowy gniazd. Pierwsze gnieżdżą się po większej części na gołej ziemi; a jeżeli tu zdarzają się wyjątki, to łatwo je różnemi usprawiedliwić okolicznościami. Gniazda drugich są utkane misternie, z trudną do uwierzenia zręcznością a zarazem przezornością; są troskliwie zaopatrzone we wszystko co potrzeba, aby były i jak najmiększe i jak najwygodniejsze a przytem bezpieczne. Ptaki należące do tej drugiej klasy rodzą się po największej części ślepe i bez pierza. Pierwszem ich pożywieniem jest najczęściej papka w wolu rodziców przysposobiona; toż żadna opieka nie zastąpi im matki, i największego potrzeba starania, aby pierwsze dnie ich życia nie były dla nich ostatniemi.

Stare już przy zakładaniu gniazda z zadziwiającą przezornością i rozwagą zabierają się do dzieła; a z jakąż to niezmordowaną cierpliwością wyjmują i układają na na nowo włókienka lub włoski do budowy użyte! Często dziesięć razy wplatają je i znowu wyjmują, a w końcu odrzucą i zastąpią innemi, przekonawszy się, że są nieprzydatne. Gniazdo ziemby jest utkane z mchu, przerabianego nadzwyczaj starannie włosieniem rozmaitych zwierząt i pierzem. Zadziwiającą jest jednostajność i zbitość tej tkaniny. Wygląda ona jak pilśń, a przecież najzręczniejszy kapelusznik nie potrafiłby zrobić podobnej. Przezorna ptaszyna przywiązuje gniazdo do kilku w pobliżu rosnących gałązek zapomocą sznurków, które ukręca z mchu i wełny.

Dobrze ukrywa swoje gniazdo słowik, choć je nie wysoko zawiesza; najtrudniej zaś znaleźć je dla tego, ponieważ mieści się w największej gęstwinie, a barwa zewnętrzna gniazda nie różni się od otaczających przedmiotów. Wilgi zawieszają swoje gniazda u wysokich gałęzi, tworzących jakoby widełki. Samic przynosi długie źdźbło lub nić i na opatrzonym przytrzymuje konarze, a samiczka tymczasem chwyta źdźbło za koniec i oblatuje z niem w około gałęzi, aby się dostatecznie obwinęło. W podobny sposób umacniają oboje drugi wolny koniec na drugiem ramieniu widełek, poczem zaczynają pleść koszyczek. Dziergacz zielony, ptak żyjący po większej części tylko w okolicy Hindostanu, buduje bardzo stucznie gniazdo z ździebeł i sitowia. Ma ono kształt flaszki, której szyja z wejściem zwrócona jest na dół, aby jaja i młode uchronić przed deszczem, a jeszcze bardziej przed odwiedzaniem wiewiórek i ptaków drapieżnych; szerszy zaś koniec flaszki przymocowany jest w końcu wielkiej gałęzi. Prawie niepodobna dać wiarę wszytkiemu, co podróżni o tych gniazdach opowiadają. Mają się one składać z kilku komórek. W jednej z nich samiczka siedzi na jajach, w drugiej leżą potrawy do wyboru, w innej znowu, którą nadto ma zdobić mały słomiany daszek, siedzi samic i ćwierkając rozmaitemi głosy rozwesela samicę, zajętą wykonywaniem obowiązków macierzyńskich. Piegża indyjska, zwana krawczykiem, ptaszek ledwie trzy cale długi, bardzo zgrabny, jasno-żółty, ma gniazdo w kształcie worka, uszyte z liści zwiędłych i zielonych, na przemian idących, wewnątrz delikatnym puchem wyścielone. Garncarz brazylijski buduje stosunkowo bardzo wielkie gniazdo na kształt pieca piekarskiego, ulepione z ziemi i podzielone ścianą poprzeczną na dwie komory. Szpak z Baltimore, mieszkaniec Ameryki północnej, jako tkacz wielce zdaje się być uzdolnionym, i pod tym względem może wszystkie inne ptaki zostawić daleko za sobą. Gniazdo jego jest utkane z konopi, lnu, lub jedwabiu i ma kształt kapelusza.

Gniazda w dziupłach drzew, tudzież w szczelinach murów i skał bywają najczęściej płaskie — te zaś, które stoją wolno, mają zwykle dla ochrony brzeg wysoki i zasklepiony. Wiszące bywają całkiem zakryte, aby młode nie wypadły podczas silniejszego wiatru. W Afryce widziano nawet ptaki, które w półkulistych gniazdach, przyczepionych do chwiejących się liści palmowych, przylepiały jaja a później i młode masą kleistą, aby ich wiatr nie powyrzucał.

Dopóki młode są w gnieździe, czułość i troskliwość starych nie ma prawie granic, a podobno nie było przykładu, aby ptaszyna karmiąca zdradziła przez nieostrożność kryjówkę dzieci swoich. A cóż dopiero dzieje się wtedy, gdy rodzice zaczynają uczyć je latać i szukać pożywienia. Ileż to wówczas nasłuchać się muszą rad i przestróg macierzyńskich, powtarzanych niezmordowanie coraz innym głosem. Zachęcają je, wskazują im drogę, dodają odwagi, okrążają bez ustanku, aby się nie rozbiegły, nawołują i tysiączne swojej czułości dają im dowody.

Tej czułej opieki macierzyńskiej doznają w młodości wszystkie ptaki. Kwoka broni swoich piskląt z zadziwiającą odwagą. Któż nie słyszał, z jaką to przebiegłością pardwa usiłuje odwieść w inną stronę uwagę człowieka, skradającego się do jej gniazda? Krzycząc przeraźliwie udaje, że upada, i przewraca koziołki, jakby miała połamane skrzydła. Jeżeli się podstęp uda, a oszukany nieprzyjaciel porzuci młode, aby chwytać starą, wówczas wzbija się w górę lotem strzały i z tamtąd ostrzega dzieci, aby siedziały cicho w swojej kryjówce. One też ani się ruszą, póki im matka nie obwieści wesoło, że już niebezpieczeństwo minęło. Orlica chociaż bardzo troskliwie pielęgnuje swoje młode i w razie niebezpieczeństwa broni ich z największem poświęceniem, jednak te, które zdają się

być słabowite, wyrzuca z gniazda. Czasami i całkiem zdrowe doznają tego losu, jeżeli matka nie może wszystkich wyżywić. Gdy zaś porosną w pierze i wyuczą się wojowniczego rzemiosła, rodzice już ich nie trzymają w gnieździe i nie pozwalają im nawet blizko siebie przebywać. (Dok. nst.)



WYSCHŁY KWIATEK.

Z NIEMIECKIEGO ANASTAZEGO GRÜNA *).

Mam ja babunię staruszkę,
Która brewiarzyk ma stary;
W tym starym brewiarzu leży
Kwiatek wyschnięty i szary...

Dłoń, co go niegdyś jej dała,
Dziś bledziej może wygląda;
Cóż się więc stało tej babci,
Że płacze, gdy nań spogląda?!

CHOCHLIK.

*) Anastazy Grün. Pod tym pseudonimem pisywał w młodzieńczych swych latach hr. Auersperg, obecny prezydent Rady państwa poezye tendencyi liberalnej, był swojego czasu z tego powodu prześladowanym przez metternichowskie rządy. Anastazy Grün, odznaczał się zawsze gorącą przyjaźnią dla Polaków i polskiej sprawy. Do najcelniejszych jego utworów z tej epoki należą: Schutt i Spaziergänge eines wiener Poeten.

FRASZKA,

PRZEZ

PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

(Dokończenie.)

Helena czytała matce Żyda Bolesławity, gdy w tem ukazała się w bramie piękna czwórka siwków, granatowe płaszcze z kołnierzami futrzanemi, i błyszczący nowością koczyk.

— Któż to? — zapytała pani Górnicka.

Helena zwróciła się ku oknu.

— To... pan Giżyński! — zawołała.

— On?!

Spojrzały na siebie z matką— i uśmiechnęły się znacząco.

— Zkądże ta wizyta?

— Dziwna!

Pan Giżyński wysiadł, i słychać było, że udał się wprost do pokoju pana domu, który po drugiej stronie był sieni.

Helena znowu podjęła Żyda i spokojnie czytała dalej. Nie wyszła godzina, posłyszały stukot w sieni — głosy... Pan Giżyński wsiadł i odjechał. Powóz zaturkotał ostro.

Matka z córką spojrzały znowu, ramionami wzdrygnąwszy — gdy pan Górnicki wszedł do pokoju.

— Miałem wizytę — zagadał wesoło.

— Widziałyśmy. Ale niedługą.

— Bo tylko za interesem.

— Za interesem?

— A ubawiłem się, lepszego nawet nabrałem humoru... lubo, że z pewną dozą sarkazmu.

— Czegoż chciał?

— Chce kupić dobra Złotogórskie.

— A!

Helena zdziwiona od roboty spojrzała.

— Wskazałem mu, oczywiście, pana Horyńskiego, by z nim pomówił. Lubo nie zasłyszałem nigdy, by pani * sprzedać je chciała.

— Ani myśli!

— Gdym tę zrobił uwagę — zagadał: „Dla pana dobrodzieja byłaby to nieprzyjemność zapewne?“ — „O mnie bynajmniej nie chodzi. Mam kontrakt jeszcze na lat dziesięć, wysiedziawszy tu czternaście, ale odrazu zgodziłbym się z panią * na wszystko.“ — „Zresztą... — cedził coś tam przez zęby — zobaczylibyśmy...“ — niby to jakieś dla mnie zapowiedział względy, na co nie zważałem wcale. Zapytywał jeszcze o różne przedmioty, dotyczące wartości dóbr, roli, stosunków różnych. A wreszcie wyrzekł: „Więc mam udać się do Władzia Horyńskiego?“ — „Tak jest. Ten pana poinformuje najlepiej.“ — „Nie chciałem pana dobrodzieja pominąć...“ — „Mnie to nic nie obchodzi.“ Powstał, pożegnał się i odjechał.

— Szczególnie! Bo przecież nigdy mowy o sprzedaży Złotych-górek nie było? Pani * obraziłaby się pewnie, gdyby jej o tem mówiono. Rzecz zabawna!

— Zabawna i śmieszna! Czyliż nam chciał zaimponować? Wie dobrze, że Horyński trudni się interesami pani *, która Złotych-górek sprzedać nie myśli. Można to zatem na karb czystej fanfaronady położyć. Błazeństwo!... Zabawiłem się, rozśmieszył mnie, bo i jakżeżby gniewać się o to? Chyba intencya podrażnienia obruszyć mogłaby trochę. Ależ i to nie. Dzieciństwo! Żakostwo!... Bywał, niby-to konkurował. A czyliżem na to kiedy chętnem patrzał okiem? Nigdy!... Gdybyć był podobał się dziewczęciu! Gdybyś go była pokochała — zwrócił się do córki — to, oczywiście, wola twoja byłaby stanowczą.

— Och nie, mój ojcze!—odrzekła zarumieniona Helena— nigdy! Lubiłam go niby trochę, bo mówiono że jest dobry, poczciwy... ale zresztą był mi obojętnym zupełnie, i nie zadrasnął mnie w niczem jego odwrót. Chyba, że to uważali drudzy.

— Dzieciństwo!... Wolę, że tak się stało. Niby to dobry chłopiec, rządny, moralny, prawy... ależ to materyalista! Płytki, czczy, egoista! I taki dziecku mojemu szczęściaby nie dał — pogłaskał córkę po licu i pocałował ją w głowę.

— A czy mówił o Kierniewskim? — zapytała pani Górnicka.

— Mówił! Ta kwestya jest dziś na porządku dziennym.

— I cóż?

— Pełen trwogi i przerażenia, jak gdyby i jemu wraz z Dębownicą Łuczynę zabierać mieli.

— A może i trwoga przed losem podobnym w materyalizm go popycha?

— Może!... Lubisz wszystko tłumaczyć — uśmiechnął się małżonek, i pocałował ją w czoło.

Ale znać z wizytami do Wierzewa dziś rozbiła się szkuta, jak to mówią — bo w godzinę niespełna potem przyjechał pan Władysław Horyński.

Twarz pana Górnickiego rozjaśniła się widocznie, gdy go zobaczył. Helena jak różyczka zakwitła, a matka jej uprzejmie podała mu rękę. Z wyrazem szczerego zadowolenia wyraził radość swoją, że ją w tak dobrym stanie zdrowia widzi.

— Dobrze, zupełnie dobrze — odrzekła — tylko jeszcze nieco słabo.

— I to rychło przeminie.

— Przy takiej troskliwości! — poszepnęła z uczuciem— spojrzawszy na męża i córkę.

— Ale, kochany panie Władysławie — zagadał gospodarz wesoło — myślałem, że pan Karol Giżyński ztąd wprost do ciebie pojechał.

— Czy był tu?

— Był przed godziną. Chce kupić Złote-górki.

Władysław się uśmiechnął.

— Odesłałem go do ciebie.

— Niemasz i mowy o sprzedaży.

— Nadmieniłem tak samo, lecz niby sądził, że w tem mój interes przemawia.

— Może zgłosi się jutro, a wtedy odeślę go wprost do pani *.

— No i ta historya z Kierniewskim! — Pan Górnicki nagle zpochmurzał.

— Smutna! Pan Tytus złożył w tejże chwili dziesięć tysięcy... trudna rada! Za Feliksa ojciec żony zapłaci. Biedny Felek zmartwił się bardzo.

— Zbyt łatwowierny.

— Był przyjacielem Kierniewskiego.

— Toćże i Giżyński przyjaźnił się z Alfonsem.

— Tak, ale ostrożny. Bardzo to smutna historya. Sitzblitz ponabywał pretensye różne i już jest *de facto* dziedzicem....

— A przezwie Dębownicę *Gross-Eiche*.

— Właśnie mówił mi o tem żandarm Kratz.

Pan Górnicki sarkał, zżymał się, bolał — Władysław odzywał się gorzko, posępnie — i w zdaniach swoich zgadzali się jak najzupełniej.

— Gdybyć to jeszcze, gdyby ogół i moralnie nie cierpiał na tem! Ale... No, lecz mówmy raczej o czem innem, muru głową nie przebije. Rozmowa nasza biedną dręczy żonę — ujął jej rękę i przycisnął ją do ust. — Zagraj nam, Helenko, zagraj dziéweczko!... Odtrącić szare myśli!

Panna podniosła się zaraz. Porwał się Władysław, podał jej rękę i poprowadził ją do fortepiana.

Muzyka, parę wdzięcznych piosenek, rozmowa, gawędka, cierpko-gorzkie zatarły wrażenie. Pan Górnicki lepszy odzyskał humor, Władysław był wesoł, i wieczór wszystkim przyjemnie upłynął.

Trzydziestego pierwszego marca, w dzień św. Kornelii, obchodzono imieniny pani Górnickiej. Zjechała rodzina i zebrało się sąsiedztwo. A byli także i państwo Kiedlińscy. Z panem Władysławem Horyńskim przybył i wuj jego, pan Dębogórski, czemu dziwiono się nieco, gdyż on nigdzie nie bywał. Szeptano też sobie coś tam na ucho ze znaczącym uśmiechem, a pani Sękowska wyraźnie swojemu powiedziała kuzynkowi: „Są już po słowie.“

— Pan Dębogórski — wyrzekł brat młodszy pana Feliksa, dojrzawszy go z drugiego pokoju.

— Otóż będzie gderał, łajał, powstawał! — wymówił młody jego towarzysz.

— Gdy nie ma o co, to i nie łaje.

— Zawsze to bocian!... Zparaliżuje nam zabawę.

— Nie lękam się. Chodź przedstawię ciebie.

Ukazanie się wszelako tak nazwanego b o c i a n a, chłodziło z początku rzeczywiście zebranie całe.

Helena z Teresą były nierozłączone, i przy stole także usiadły obok siebie.

Wniesiono zdrowie solenizantki, i pani Górnicka, bledziuchna jeszcze, wdzięcznym podziękowała wyrazem. Poza oknami na *vivat* huk z biczów się rozległ.

Potem podniósł się znowu pan Dębogórski i przemówił:

— Przy dzisiejszej solenizacyi szanownej małżonki, tkliwej matki, zacnej obywatelki i Polki, wniosę na pamiątkę dnia tego, z przyzwoleniem rodziców, jeden jeszcze toast: Szczęście i pomyślność narzeczonych, panny Heleny Górnickiej i Władysława Horyńskiego.

Wszyscy w około z kieliszkami w ręku powstali. Zaległ zgiełk wesoły, wrzawa radosna, posypały się życzenia przyjaciół, uściski przyjaciółek, a poza oknami raz, drugi i n s t r u m e n t a f o r s z p a n ó w zgododźwięcznym odgłosiły się wtórem. Oblicze Władysława szczęściem jaśniało. Helena zróżowiona uśmiechała się wdzięcznie.

Po objedzie ujął ją pan Dębogórski pod rękę, wyszli do drugiego pokoju, posadził ją obok siebie i dość długo z nią rozmawiał. Poczem pocałowała go w ramię, a on jej głowę do piersi przycisnął. Podał jej znowu rękę i oboje do salonu wrócili.

Muzyka i gry towarzyskie zapełniły wieczór. A b o c i a n bynajmniej niekorzystnie na zabawę nie wpłynął.

VII.

Na dwudziestego ósmego maja był naznaczony ślub pana Karola Giżyńskiego z panną Marcyanną Muszalską. Pani Zaniewska jedna tylko z rodziny na nim być miała.

Dwór w Łuczynie elegancko urządzony na młodą panię czekał. W ogrodzie ładne dla niej kwitły kwiaty. Ekwipaże pana młodego swoim *beau chique* ogólną zwracały uwagę.

Dwudziestego szóstego nocował pan młody z ciotką w Skowronowie, w h o t e l u b e r l i ń s k i m, ażeby w wigiliją ślubu do Borek zjechać. Zrana wyszedł na miasto, przeszedł się przez ulic parę, spojrzał na handel korzenny i delikatesów pana Zuckerappel, i zwolna znowu ku hotelowi powracał, przypuszczając, że ciocia już ubrała się pewnie.

W tejże chwili gdy nadchodził, zajechał *Plauwagen* podróżny przed hotel. Wysiadł z niego w średnim wieku mężczyzna, i wysadzono dwóch chłopczyków, porządnie w szaraczku ubranych. Starszy mógł mieć lat ośm, młodszy sześć. Uderzyło Karola ich szczególne podobieństwo do

panny Marcyanny i do jej stryja. „Czyliż to jest gra fantazyi mojej podrażnionej?“ — ozwało się we wnętrzu jego. Przystanął, patrzał, a gdy weszli do hotelu, zapytał woźnicę:

— Któż jest ten pan?

— Pan Kuklewski.

— Zkąd?

— Z Wajrowa.

— Czy to najęty powóz?

— Tak.

Otworzono bramę, i *Plauwagen* wtłoczył się w podwórze.

Dwór w Borkach, o ile się dało, świąteczną przystrojono barwą; pobielono go świeżo, dziedziniec umieciono, szopę z drzewem zielonemi umajono hoinkami. Pokoje były froterowane, firanki wszędzie bielutkie.

Pan Muszalski wygolony, w odświętnem ubraniu, panna Marcyanna w bareżu *havannah*, z świeżemi kwiatkami we włosach, czekali na przybycie Karola i pani Zaniewskiej.

Około godziny trzeciej z południa ukazała się piękna czwórka siwków pana młodego i *brougham* w płóciennej oponie. Za nim kareta opakowana pani Zaniewskiej. Wszystko ze dworu na powitanie wybiegło. Ciocia z uśmiechem wysiadła, i przyszłą małżonkę siostrzeńca z miłością utuliła w objęciu. Potem podała rękę panu Muszalskiemu, i kilka serdecznych wyrzekła wyrazów. A zrobiła na obojgu przyjemne wcale wrażenie. Poczciwi prostaczkowie.

Urządzony dla niej pokoik na górze dość był wygodny, jak to uznała sama. Pączkowska wszelako, jej panna służąca, krzywiła się na wszystko.

Na ślub tylko zaproszeni byli: kupiec * z Gdańska, pan *Schmidecke* i proboszcz z Skowronowa.

Oblubienica miała suknię z pięknej białej mory, iluzyą na głowie i wieniec z kwiecia pomarańczowego — wszystko z Gdańska.

Ślub odbył się jak zwykle, i dał go, rozumie się, ksiądz Wilski.

Nastąpił objad, zgotowany przez dobrego kucharza z Skowronowa. I wszystko odbyło się przyzwoicie zupełnie.

Goście rozjechali się około godziny dziesiątej, jedynastej. Pani Zaniewska czuła się ufatygowaną bardzo.

Nazajutrz z rana poprosił lokajczyk pana Karola do pana domu. Udał się natychmiast, domyślając się po co wezwanym został.

W pokoju pana Muszalskiego stała szkatułka na stole i jakieś leżały papiery. Panowie powiedzieli sobie dzień dobry. Karol stryja pocałował w ramię a ten go w czoło.

— Mój kochany siostrzeńcze—zaczął zaraz ten ostatni — otóż i wypłacę ci owe 50.000. W listach zastawnych 48.000 a 2.000 w papierkach bankowych.

Karol podjął *fandbryfy*: było ich 8000 talarów... i zaćmiło mu się w oczach.

— Ośm tysięcy talarów!... — wymówił.

— A tak 48.000 złotych.

Karol o mało że na ziemię nie upadł.

— Złotych! — wyrwało się z piersi jego rozpaczliwie.

— A tak. Masz tutaj 50.000 — pan Muszalski rozliczył je na stole — połowa posagu Marcysi.

— Ależ... miało być talarów tyle.

— Talarów?! Ja nie liczę na talary, i nigdy nie liczyłem na ruble, nawykłem liczyć na złote, i przez patryotyzm trzymam się złotych.

Karol zaklął się w duszy.

— Ależ ja byłem pewny, że sto-tysięcy talarów! — zawołał odważniej. Tak mnie zapewniano.

— Kto?! niecierpliwie pan Muszalski wyrzucił — a to mogłeś mnie zapytać, skoro o t a l a r y c h o d z i ł o! Tutaj jest testament mojego brata, i tutaj są obrachunki wszelkie z opieki mojej i wydatki na wyprawę. Srebra dostanie na dwadzieścia cztery osób, miednicę z kubkiem, parę dużych świeczników i cztery małe. Odbierzecie je w Gdańsku, bo na dzień wczorajszy dopiero wykończone zostały i potrzeba po nie pojechać. Nadto z obrachunku wypadło dla Marcysi jeszcze 3.000, to jest, podług was 500 talarów, które odbierzesz od mego spólnika pana Haltza. Procentem od drugich 50.000, wedle testamentu będziemy się dzielili, aż do pełnoletności Marcysi. I wtedy to onę drugą odbierze połowę. Winieneś wszelako pierwsze 50.000 zaintabulować zaraz w hipotece Łuczyny, a następnie i drugie.

Karol stał nieruchomy, jakby martwy, a dzwoniło mu w uszach, że i ledwo słyszał, co tamten mówi.

Pani Zaniewska trefiła się do drugiego śniadania, gdy do niej wszedł bratanek, blady jak mara, z osłupiałym wzrokiem, z sinemi ustami. Obejrzała się, pobladła także zlekka, i wyprawiła Pączkowskę, która wszelako za drzwiami pozostała i świadkiem całej następnej była rozmowy.

— Cóż to? Na miłość Boga, cóż tobie? — zawołała ciotka, porywając się, gdy tamta wybiegła.

— Jestem zgubiony! — upadł na krzesło, a ośm l i s t ó w z a s t a w n y c h i papierki bankowe na stolik porzucił.

— Cóż się stało? Nie rozumiem! — stanęła przed nim z założonemi rękoma.

— On liczył na złote... my na talary! Zostałem złupiony, oszukany!

— Jezus Marya! Co gadasz?

— To jest połowa posagu! — krzyknął z szyderstwem, i stolik z *fandbryfami* popchnął.

Pani Zaniewska przeliczyła listy, przeliczyła papierki, i w niemej rozpaczy załamała ręce.

— Pójdę do niego! Wykrzyczę!

— To i cóż poradzi? Rzecz skończona!... Zguba! Przepaść! Ciotka popchnęłaś mnie w najstraszniejsze nieszczęście! Zgubionym na wieczne czasy! A jeszcze... i taka dziewka! Taki kloc! — krzyknął z rozpaczą.

— Pójdę do starego! Zagrożę rozwodem!

Karol rozpaczliwym, strasznym zaśmiał się śmiechem.

— Rozwodem?! — zawołał — Szyderstwo!... A na jakiej zasadzie?

— Że nas oszukano! Muszę z nim pomówić!

— O czem?

— Wyrzucę mu wszystko! Zagrożę!

— I ciotka oburzysz go do szczętu! A myśmy go sobie zjednać powinni.

— On i swój majątek liczy na złote!—syknęła niecierpliwie.

— Oczywiście. Ale ma wszelako z 50.000 talarów, nie złotych.

— Okropny zawód! Okropny podstęp! Zdrada! Oszustwo! To jest gorsze, stokroć, milion razy gorsze od rabunku na drodze publicznej!

— Myśmy to popełnili głupstwo bez granic, bez miary! Haniebne i podłe głupstwo! Ciotka wtrąciłaś mnie w zgubę, w przepaść! Ciotka winnaś wszystkiemu!

— Chciałam szczęścia twojego! — tupnęła nogą całą siłą w podłogę — starałam się na wszystkie strony, przepytywałam.

— I ciotka nikczemne popełniłaś głupstwo! Dałaś wywieść się w pole i ze mnie zrobiłaś ofiarę! Ciotce tego nie daruję nigdy!

— Tak się odwdzięczasz za moje starania!

— Wdzięczność?!—Karol aż podskoczył— Nienawiść raczej! Przekleństwo!

— Oszalałeś! Jesteś niegodziwy! — pani Zaniewska obydwoma tupała stopami. — Reflektuj się! Chciałam majątku dla ciebie! Poświęciłam się! Widzisz moje zmartwienie!... Jesteś niegodny! — rzuciła się na krzesło i głośnym wybuchnęła płaczem.

Karol upadł także znowu na siedzenie, zakrył twarz rękoma — i... podobno także zapłakał.

Pączkowska po za drzwiami zanosiła się od śmiechu. Po chwili znowu posłyszała głosy, spokojniejsze; rozmawiano, radzono... Nadstawiła ucha.

— Wyśmieją mnie! Wyszydzą! Palcami wytykać będą! Jestem skompromitowany śmiertelnie!—wymówił pan Karol głośniej — więc potrzeba wszystko w kieszeń schować, i przynajmniej pozory ocalić. Ratunku nie masz!

— Ach i jakieżby to było szyderstwo! Nietylko w okolicy, ale i w księstwie całem! Zabawiliby się wszyscy! — zawołała pani Zaniewska płaczliwie — dopierożby to był tryumf!... Pokryć! Zataić!

Znowu ciszej mówili a zatem i zgodniej. Szmer zbliżył się ku drzwiom. Pączkosia po schodach czmychnęła.

Wyszła pani Zaniewska obrzucona szalem, i udała się wprost do pokoju pana domu. Pan Muszalski podniósł się od biórka na jej powitanie.

— Dzień dobry panu dobrodziejowi— wymówiła z wdzięcznym wyrazem.

— Dzień dobry pani dobrodziejce—pocałował ją w rękę i podał jej fotel.

— Mówiłam właśnie z Karolem. Był zmieszany trochę... bo my na talary liczymy.

— A ja na złote zawsze, na złote polskie.

— Stała się więc pomyłka. Ale stało się i basta!... Karol kocha Marcysię szczerze. A pan dobrodziej będziesz dobrym dla nich ojcem.

— Marcysię zawsze jak ojciec kochałem.

— Sprzedaj panie Borki i przenieś się do nas!

— Taki mam zamiar.

— Kupicie dobra jakie do spółki z Karolem, lub też coś przyległego do Łuczyna.

— Gdyby się tak nadarzyło.

— Pan dobrodziej Borki dobrze sprzedasz.

— O, naturalnie! Muszę dobrze sprzedać. Nie potrzebuję się spieszyć, bo mnie nic nie zmusza.

— Ileż myślisz dostać?

— Do trzech kroć.

— To jest złotych?

— A tak.

— Pan dobrodziej masz i gotówkę.

— Nie wiele.

— I w handlu w Gdańsku.

— Kilkadziesiąt tysięcy.

— Złotych?

— Liczę zawsze na zlote.

— Pan dobrodziej masz piękne inwentarze, i dużo... Koniecznie, panie, koniecznie połącz się z dziećmi! I zostań naszym sąsiadem! — podała mu rączkę.

Pogadawszy jeszcze, pochlebiwszy staremu, zabrała się pani Zaniewska i do proboszcza poszła.

Wobec niego znowu gorzkiemi wybuchnęła wyrzutami, że ich łudził znacznym posagiem Marcyanny, a to były nie talary, lecz złote!

Proboszcz odpowiadał spokojnie, z umiarkowaniem, powtarzał co mówił, i on także nie wiedział, że pan Muszalski tylko na złote liczy, zamiast na talary. Wypowiedział, że jemu żadne nie śniły się swaty, przypadkowo jedynie do bratanka swojego, gdy go odwiedził, mówił o majątku pana Muszalskiego, i tak nieszczęsnie w tę całą sprawę wplątanym został. Ale pani Zaniewska zaperzyła się gniewem i ze złością wybiegła. Zawróciła wszelako zaraz znowu — znać rozsądniejszą powodowana myślą, podała rękę do zgody, tłumaczyła się troskliwością o szczęście siostrzeńca i poleciła... by ksiądz proboszcz dobrodziej za nim do stryja przemawiał: ażeby tamta przynajmniej nie ominęła go fortuna.

Ksiądz Wilski odrzekł: że pan Muszalski poczciwym jest człowiekiem a siostrzankę zawsze kochał.

Przy objedzie była pani Zaniewska słodziuchną i pieszczotliwą dla Marcysi i z pochlebstwem dla stryjaszka.

Pan Karol chmurny i posępny pozostał. Ciocia wyjechała dnia tegoż jeszcze, by w Skowronowie zanocować.

Państwo Karolowie nazajutrz opuścili Borki. Udali się do Gdańska, by tamże owe 500 talarów, srebra i resztę wyprawy zabrać. W Gdańsku Karol zachorował i zagrażało mu zapalenie mózgu.

Wracając wstąpili oczywiście znowu do stryja.

Raziło Karola dziwnie, gdy na dziedzińcu zobaczył owe dwa chłopczyki, widziane w Skowronowie a z nimi i pana Kuklewskiego.

Marcyanna wbiegła do dworu. Karol przed nim postał chwilę. Od gumien pan Muszalski przydążył i ucałował męża Marcysi.

— Cóż to są za chłopczyki?— zapytał ten ostatni z niepokojem wewnętrznym.

— Hm! To moje są chłopięta. Nie chciałem mieć ich tutaj przy Marcysi, lecz teraz zapełnią mi pustkę. Matka ich już nie żyje. Chowali się w Wajrowie. Dam im teraz legitymę, święty to obowiązek.

Karol pobladł, posiniał, zatrząsł się, wbiegł do dworu i zawołał na żonę, że zaraz odjeżdżać będą. Zdziwiła się, pragnęła dni parę zabawić, chciała przynajmniej do jutra pozostać... Lecz i słuchać o tem nie chciał. W godzinę więc potem opuścili Borki.

Marcysia popłakała trochę, żegnając stryja, i on rozczulił się także. Pan Karol zębami zgrzytnął, widząc przyskakujących chłopców. W drodze podchorował znowu na ulanie żółci.

Słońce zniżało się ku zachodowi, gdy dnia trzeciego do Złotych-górek wjeżdżali. Dzień czerwcowy był pogodny i ciepły, lubo bez upału. Marcyanna wychylała się ciągle przez okno karety, powabną śledząc okolicę i rychło tam pałac w Łuczynie zobaczy. Bo tak dwór łuczyński w Borkach przezwano.

Przed kościołem kilkanaście stało powozów. Światła w świątyni przez okna błyszczały. Gromadka wieśniaków stała przed cmętarzem.

— Co to? — zawołała pani Marcyanna — ślub jakiś! Karolku! Mój Karolku! Przystańmy! Wysiądźmy! Chodźmy do kościoła! Chcę widzieć to wesele.

— Ani myślę! — odmruknął małżonek.

— To ja sama pójdę.

Dojechali. Powozy zalegały drogę, że i niepodobna było przejechać, ruszyły się nieco, by zrobić miejsce. Kareta Giżyńskich przystanęła.

Zabrzmiały wesołe tony organów. Z kościoła wychodzić poczęli. Marcyanna wychyliła się z okna ciekawie. Sędziwy mężczyzna wyprowadził śliczną oblubienicę, w bieli, szczupłą, zgrabniutką, cała obłoczkiem iluzyi owiana. Z wieńcem zielonym po nad jasnem czołem, lekko zapłoniona, ze spuszczonem okiem. Za nią miłego wejrzenia pani w czepeczku, podawała rękę oblubieńcowi, nader przystojnemu, z ciemnym wąsikiem, z wyrazem szczęścią w obliczu, z mirtową gałązką przy białej kamizelce u fraka granatowego.

— Ruszaj! Ruszaj! — wołał niecierpliwie Karol, głosem dziwnie zmienionym.

Marcyanna obejrzała się, był blady, aż niby siny.

— Co tobie, Karolku kochany? — zapytała, pochylając się ku niemu.

— Nie dobrze mi... Ruszaj! — krzyknął znowu.

Brougham państwa Giżyńskich przejechał w pośród powozów weselnego orszaku i potoczył się przez wieś.

— Czyj to ślub? — zapytała pani Karolowa, idącego wieśniaka drogą.

— Panny Górnickiej i pana Horyńskiego...

— Ruszaj! — wrzasnął Karol znowu.

Karetka potoczyła się wartko. Wjechali do Wierzewa. Ochronka była umajona w wieńce, z cyfrą: *H* i *W*. Trzy służebniczki w świeżutkich białych fartuchach i chustkach na głowie, przy ładnych sukniach szafirowych, z paciorkami u boku, stały przed domem na czele gromadki dziatek, świątecznie przybranych.

Zaturkotały za Giżyńskich karetą powozy ślubnego orszaku, i dzieci spiewnym ozwały się chórem, znać młodą witając parę.

— Ruszaj! Ruszaj! — powtarzał Karol.

Posłyszano trzaski jakieś. Marcyanna wychyliła się z okna.

— Poza dworem puszczają race — wymówiła — pewnie teraz powozy nadchodzą.

Karol w głąb karety cofnięty głowę oparł — i oczy przymknął.

W tej samej chwili we dworze wierzewskim, młoda para weszła za panią Górnicką do jej pokoju. Przyklękli, obejmując kolana matki, i uśmiechnęła się ze łzą w oku, błogosławiąc raz jeszcze. Władysław pierwszy pocałunek na rumianych ustach jedynie ukochanej złożył małżonki.

Siekierki 9. kwietnia 1868.

K O N I E C.

KRONIKA.

Z kraju.

Wydawnictwo „Strzechy“ idzie teraz tak pospiesznie z powodu nastającego z październikiem nowego roku księgarskiego, z którym musi też rozpocząć się nowy rocznik naszego pisma, że nietylko nie staje nam czasu, ale poniekąd nawet i materyału na obszerniejszą kronikę z kraju. Nasze życie umysłowe, jakkolwiek obszar jego wcale nie jest szczupły, nie odznacza się przecież płodnością tak obfitą, by kronikarz choćby najgorliwszy mógł co dziesięć dni znaleść coś nowego do zapisania; i to też niechaj służy nam za usprawiedliwienie, jeżeli kronika nasza nie jest tak wyczerpującą, jakbyśmy pragnęli.

(Piśmiennictwo) nasze wzbogaciło się znowu kilkoma cennemi pracami. We Lwowie wyszła nakładem Karola Wilda pierwsza część „Zarysu dziejów literatury polskiej“ dla użytku szkolnego. Autor tego dzieła profesor gimnazyalny pan Adam Kuliczkowski, występujący po raz pierwszy publicznie w zawodzie pisarskim, dał się poznać odrazu jako sumienny i poważny pracownik. Brak dobrej książki podręcznej do wykładu literatury ojczystej w szkołach dawał się czuć mocno od dawna, bo wszelkie dotychczasowe publikacye w tym względzie były albo nadto obszerne i traktowane więcej podmiotowo, albo też ograniczały się na suchej kompilacyi imion i tytułów, i przeto nienadawały się całkiem do użytku szkolnego. Panu Kuliczkowskiemu udało się dość szczęśliwie wynaleźć drogę środkową, i zdaje nam się, że praca jego, oparta na troskliwem i umiejętnem zużytkowaniu wszelkich istniejących już w tym względzie źrodeł i materyałów, potrafi zapełnić ten brak w piśmiennictwie dydaktycznem. Wydana obecnie część pierwsza skreśla w sposób bardzo przystępny i zajmujący wszystkie ważniejsze przejścia i objawy literatury polskiej od najdawniejszych czasów aż do początków XIX wieku; część druga, obejmująca literaturę wieku bieżącego, znajduje się jeszcze w druku, i życzymy autorowi, aby odpowiedziała tak swemu żadaniu, jak pierwsza.

Prócz tego wyszedł we Lwowie rodzaj broszury, którą nazwalibyśmy fantastyczno-polityczną, pod tytułem: „Wizya poselska.“ Autor jej chcąc wskazać sejmowi drogę, którą zdaniem jego postępować powinien dla dobra ojczyzny, wprowadza na scenę pólskiego posła, któremu zjawia się w kościele Bolesław Chrobry i dowodzi, że celem polityki polskiej powinno być zbawienie całej Sławiańszczyzny. Jestto myśl bez zaprzeczenia bardzo piękna i wzniosła, ale forma, w jakiej ją zamknął autor, nie odpowiada zadaniu; osnuty na tem tle poemat miałby nierównie większą wartość.

Poznań dostarczył w tym czasie także bardzo pożytecznej książki szkolnej: „Xenofonta wspomnienia o Sokratesie,“ tłumaczenie z oryginału Antoniego Bronikowskiego. Jestto książka bardzo pożądana dla młodzieży szkolnej, a chociaż niekoniecznie pochwalalibyśmy tłumaczowi zanadto niewolnicze trzymanie się oryginału, wypada przecież usprawiedliwić go tem, że miał przeważnie na względzie użytek szkolny.

Do rzędu prac poważnych zaliczyć nam wypada jeszcze wydany teraz w Warszawie „Słownik górniczy polsko-rosyjsko-fransusko-niemiecki z dodatkiem glossarza średniowiecznej łaciny górniczej w Polsce, dzieło ś. p. Hieronima Łabęckiego, niegdyś wice-dyrektora wydziału górnictwa, a nadto zapowiedziane wydanie „Słownika botanicznego“ z materyałów pozostałych po ś. p. Janie Wolfgangu, niegdyś profesorze uniwersytetu wileńskiego.

Nakoniec dowiadujemy się jeszcze z Wiednia, że przebywający tam wychódźca polski, ks. Szczeniowski, były magister teologii w Warszawie, przygotował do druku broszurę: „Słowo o przyczynach upadku Polski i o środkach jej powstania.“

(Sztuki piękne). Ze świata artystycznego nie dochodzi żaden głośniejszy znak życia, i chyba wspomnąć tu możemy o wydanem w Wiedniu przez Angerera fotograficznem album, przedstawiającém nabyty przez cesarza austryackiego ostatni utwor Grottgera pod tytułem „Wojna.“

Przy tej sposobności nadmieniamy jeszcze, że znany z nakładów swoich fotograf tutejszy pan Teodor Szajnok zamyśla wkrótce urządzić we Lwowie wystawę swoich dzieł, z którą ma być połączony cel dobroczynny.

— O panu Franciszku Tepie, który przez kilka miesięcy w wiejskiem zaciszu oddawal się pracy, dowiadujemy się, że przywiózł z sobą kilka świeżych akwarel, które mają usprawiedliwiać w zupełności sławę jego pędzla. A że sława ta nie jest bezzasadną, przekonują o tem pochlebne recenzye dzienników wiedeńskich o utworach jego, znajdujących się na wystawie sztuk pięknych w Wiedniu, które sąd znawców i miłośników sztuki zalicza tam zgodnie do rzędu dzieł mistrzowskich.

(Teatr.) Pani Modrzejowska artystka Tow. dramatycznego Krakowskiego, ma przybyć z gościnnemi rolami do Warszawy. Oto trzynaście sztuk, w których wystąpi: 1) Nasi Najserdeczniejsi, 2) Adrjanna Lecouvreur, 3) Helena de la Segliere, 4) Marja Stuart, 5) Pojęcia pani d'Aubray, 6) Paria, 7) Zięć pana Poirier, 8) Dalila, S) Więzy, 10) Kobiety z kamienia (Marco), 11) Klucz Metelli, 12) Poznaj nim pokochasz (Fredry syna przysłowie), 13) Villemer.

(Polski dom mieszkalny w Paryżu). Dla rodakow mających zamiar zwiedzić stolicę Francyi, pożądaną będzie wiadomość, że w Paryżu przy Champs Elysées na ulicy Marbeuf, pod nr. 66 na drugiem piętrze otwarty został od roku przez panią Kierblewską pożądany dla rodzin polskich dom mieszkalny (Maison meublée), w którym mieć można wszelkie wygody za cenę umiarkowaną i o wiele niższą niż po hotelach paryzkich. Prócz pomieszkania ze stołowaniem się lub bez niego, familie na dłuższy pobyt do Paryża przybyłe mogą korzystać z wysokiego wykształcenia panny Kierblewskiej, byłej uczennicy Henryka Herza, która udziela prywatnie lekcyj na fortepianie i spiewu, tudzież języków francuskiego, angielskiego i niemieckiego, i przyjmuje pensyonarki. Adres: Melle H. Kierblewska 65. Rue Marbeuf (Champs Elysées) Paris.

Ze świata.

(Miłość i zemsta. Właściciel „Hermita,“ konia zwycięzkiego, który na wyścigach w Derby (w Anglii) wygrał wielką nagrodę, jest jeszcze młodzieńcem i właścicielem znacznego majątku, który skutkiem ostatniego zwycięstwa powiększył się jeszcze o pięć miljonów. Należy on do stanu mieszczańskiego, gdyż ojciec jego jest jednym z następców Pickforda i spółki, owych wielkich fabrykantów wozów w Londynie, który to dom znany jest także pod firmą: „Chaplin, Horne i spółka.“

Przed kilkoma laty zakochał się właściciel „Hermita“ w Lady P...., córce Lorda. Dama ta stojąc sama i wiodąc życie niezawisłe, zaliczoną została wnet do tej klasy kobiét, które w Londynie mają nazwę „Fast Ladies,“ tytuł niekoniecznie pochlebny a znamionujący cokolwiek za wiele niezawisłości. Lady P. była dość wybredną w swoich skłonnościach i nie odmawiała sobie żądnej z owych przyjemności, jak nastręcza zbytek, chociaż bogini szczęścia co do majątku wcale nie była szczodrą dla niej. Przyszło też do tego, że Lady P. właśnie wtedy, gdy osiągnęła wiek dziewiczej dojrzałości, dźwigała na pięknych barkach swoich ciężar długu, wynoszącego 6.000 funtów sterlingów (przeszło 70.000 złr.)

W tym czasie zapoznała się z panem Chaplinem; równocześnie zaś ubiegał się o jej miłość Lord Herford, pan całą gębą, a przytem wielki hulaka i zapamiętały sportsman (koniarz).

Przez cztery miesiące zdawało się, że Lady P. przenosi Chaplina nad Lorda, i cały świat mniemał, że wywiąże się ztąd szczęśliwe małżeństwo; a przypuszczenie to było tem bardziej uzasadnione, iż wiedziano powszechnie, że Chaplin zapłacił długi swojej bogdanki. Uczynił on to z wielką delikatnością, w sposób nie ubliżający bynajmniej godności dostojnej damy.

Towarzyszył on też swojej narzeczonej, gdyż za taką uważano ją powszechnie, na wszystkich przechadzkach i przejażdkach. Pewnego dnia przybył z nią do magazynu strojów przy ulicy Oxford; on czekał pod drzwiami, ona weszła za sprawunkami do sklepu.

Minęła godzina, minęło dwie godzin, Lady P. nie wychodziła. A raczej wyszła ona już dawno tylnemi drzwiami, gdzie zastawszy powóz Lorda Herforda, który jej oczekiwał, siadła obok niego, woźnica zaciął konie, i wyjechali z Londynu.

Wieczorem była już Lady P. żoną Lorda Herforda. Byłto — przyznać potrzeba — figiel bardzo dotkliwy.

Pan Chaplin też czuł się podwójnie obrażonym, raz w sentymentach miłośnych, a powtóre w ambicyi; i mówią że wypadek ten nawet ciężko odchorował.

Wyzdrowiawszy poprzysiągł zemstę. Wiedział, że Lord Herford był najzagorzalszym sportsmanem w Anglii. Powiedział więc sobie: muszę zrujnować tego człowieka.

Rzucił się tedy z duszą i z ciałem w świat koniarski. Przedtem nie zakładał się nigdy, nie był nawet nigdy na wyścigach. Mniejsza o to! Urządził sobie przepyszną stajnię i zwracał wszelkie zakłady przeciw Lordowi.

Ale sztuka koniarska nie jest tak łatwą, jak się zdawało panu Chaplinowi; kikakrotnie został mocno pobity. Ale na ten rok przygotował cios stanowczy. Robił szalone zakłady przeciw koniom Lorda; Lord trzymał wszystkie stawki—i dziś jest małżonek Lady P. zrujnowany. Przy takim stanie rzeczy nie trudno będzie może panu Chaplinowi rozciągnąć dalej swoją zemstę, ale my spuszczamy już zasłonę na to.

(Szarlataneryа na wysoką skalę). Bardzo dawno żadna sprawa nie budziła między londyńską publicznością tyle zajęcia, co proces pani Rachel, inaczéj Sary Rachel Lewerson zwanéj, która stoi przed sądem przysięgłych pod zarzutem, jakoby w sposób podstępny wyzyskała od niejakiej pani Maryi Tuker Borrodaile 4000 funtów szterlingów. Przebieg téj sprawy, podany tu wkrótkości, dowiedzie, do jakiego stopnia u niektórych ludzi łatwowierność dochodzi. Pani Rachel ogłosiła w dziennikach, że posiada cudowny sposób przeistaczania brzydkich twarzy w zachwycające pięknością, a co więcej podjęła się ona starym ludziom powracać dawną młodość, dawne siły i te wdzięki i powaby, któremi w przeszłości na horyzoncie świata jaśnieli. Zdawałoby się, że podobny inserat, jako namacalna szarlataneryа, nie powiedzie nikogo na pokuszenie, i że przyniesie ogłaszającej podobne brednie w udziale nigdy nie powrócone koszta inseratu. Inaczej się jednak stało. Wkrótce bowiem potém zgłosiła się do pani Rachel osobiście jakaś dama w latach statecznych z życzeniem przywrócenia jej dawnej młodości i minionych wdzięków. Pani Rachel zażądała za tę sztukę 1000 funtów szterlingów. Dama ta, której nazwisko Marya Tuker Borrodaile, sercem nigdy nie starzejącém się kochała niejakiego lorda Ranelagh, chciała wzajemności, a że o tę najtrudniej w jéj wieku, nie dziw więc, że chcąc przebojem zdobyć sobie kochanka, ofiarowała żądaną sumę i oddała się w zupełną moc i opiekę pani Rachel. Podczas gdy dama nasza pociła się w gorących kąpielach i stękała obłożona różnemi ziołami, doniosła jej pani Rachel, iż kochanek jej znalazł się na raz w tym stanie finansowym, który wymaga apelacyi do cudzéj kieszeni, korzysta więc z tego, że pani Borrodaile jest majętną i prosi ją o pomoc. Nie wahała się ona tu długo i posłała swemu ubóstwionemu przez panią Rachel 3000 funt. szt. Naturalnie, że pieniądze te utonęły w paszczy pani Rachel. Po niejakiem czasie poznała pani Borrodaile, że stała się ofiarą szarlataneryi, a opuściwszy mieszkanie cudotworczyni i dowiedziawszy się, że jej Wiliam ani potrzebował, ani oglądał kiedykolwiek owych 3000 funt. szt., zaskarżyła panią Rachel. Sprawa ostatecznie przyszła pod rozstrzygnięcie sądu przysięgłych. Mniéj interesu obudziła oskarzona, ogólna uwaga skierowana była na osobę skarżącą, co w ten sposób pozwoliła się w pole wyprowadzić. Z niesłychaném zajęciem oczekiwała zgromadzona publiczność wyroku, jaki w téj sprawie zapadnie, lecz jakież było ogólne rozczarowanie, gdy po pięciogodzinnej naradzie ogłoszono, że sąd, nie mogąc się zgodzić w wydaniu swéj opinii o winie oskarzonéj, postanowił powtórnie na przyszłéj sesyi prowadzić całą rozprawę.

(Tkanka z włókien drzewnych) Usiłowania dążące do zamienienia włókien kory z pewnych drzew i roślin w tkankę, nie udawały się po większei części głównie dla tego, że włókno nie dawało się zamienić w nić. Teraz zdaje się, że i to da się zrobić i to w sposób bardzo prosty. Włókno rozpuszcza się w niektórych płynach, zupełnie tak samo jak się roz-

puszcza w wodzie cukier lub sól. Len, bawełna, rozpuszczają się i wszelkie włókno komórkowate rozpuszcza się w niedokwasie miedzi ammonii (l' oxyde de cuivre ammoniacal).

Materja tkacka przedstawia się wówczas jako płatki śnieżne, a po odparowaniu nabiera ścisłości pierwotnej. Ta własność zdawała się możebnem uczynić zamienienie w przędziwo wszelkich hubek włóknistych, z któremi gręba nic poradzić nie mogła. Istotnie dosyć jest rozpuszczoną substancję przeprowadzić przez przyrząd do sortowania nici używany, a zyska się nici wszelkich numerów. Probowano nawet i tego pośredniego działania uniknąć i lać włókno rozpuszczone w formy, jak się to robi z kauczukiem. Tym sposobem otrzymanoby od razu tkaninę. Za jedną operacją możnaby zyskać materjał z włókna drzewiastego gotowy do sklepu i niepotrzebaby już ani gręblowania ani innych czynności. Jedwab rozpuszczony w chlorku cynku daje się łatwo w takie formy odlewać. Jeśli doświadczenia się powiodą, to w przemyśle tkackim przewrót nastąpiłby niesłychany.

(Wystawa owadów) tegoroczna, druga z rzędu, jaką w Paryżu urządzono (pierwszą w r. 1865), pod wieloma względami była ciekawa i nauczająca. Te drobne istoty są często dobroczyńcami człowieka, lub niezmierne zadają mu krzywdy — a można je liczyć na miliardy i miliardy miliardów — warto więc zbliska zapoznać się z niemi. Na wystawie przedstawione były ze wszelkiemi szczegółami, nawet przemysłowemi, owady pożyteczne szczególniej pszczoły i jedwabniki — a szkodliwe z całą, że tak powiemy, historją ich pracy ujemnej dla człowieka, o ile dziś sądzić o tem można. Kwestja owadów szkodliwych ważniejsza jest może niż pożytecznych, bo czynią przerażające szkody: niszczą drzewa na ogromnych obszarach — a w ziarnie zbożowem lub w zbożu na pniu, czynią nieprzeliczone szkody. O tych szkodach można mieć wyobrażenie z takiego np. faktu, że w Belgii w r. 1846 trzecią część zbiorów pożarł Guzowic zbożowy (Cecydomia) co znaczyło 40 milionów franków. Wołki zbożowe niszczą 12% ziarna w śpichrzach leżącego; szarańcza niszczy w kilka godzin roślinność na pożywienie tysięcy ludzi starczyć mogącą. Nie można zapomnieć o chrabąszczach w tej liście szkodliwych owadów; rok bieżący ciężką dał ludziom naukę za to, że zaniedbali niszczenia tych wrogów, które to pod ziemią, to nad nią krzątają się przez lat cztery za ruiną zbóż i owoców. Ludzie badają naturę szkodników, żeby im nieść tem skuteczniejszą zagładę — a zajmują się gorliwie owadami pożytecznemi. Co one znaczą w gospodarstwie krajowem, widać z tego, że przed rozszerzeniem się we Francji choroby jedwabników, produkowały one jedwabiu za 100 milionów franków rocznie; dziś dają go tylko za 34 milionów. Pszczoły jakkolwiek nie tak szeroko hodowane we Francji jak jedwabniki, produkują jednak tyle, że po odtrąceniu tego co 100,000 hodowców użyje na swoją potrzebę, a co najmniej ¾ całej produkcji wynosi, jeszcze do handlu idzie miodu i wosku za 15 milionów franków rocznie — cała więc produkcja znaczyłaby 60 milionów franków. Można powiedzieć, że to bogactwo powstaje z niczego — bo jakiż stosunkowo maleńki jest nakład na jedwabniki i pszczoły! Długo mniemano, że z tych ostatnich miód i wosk spożytkować można tylko w postaci bezpośredniej; teraz wielu hodowców wyrabia z wody słodzonej miodem alkohol, wódki różne, ocet, płyn konserwujący owoce i t. d.; z wosku robią się zaprawy, werniksy, żeby już nie mówić o znanych ogólnie pożytkach z miodu i wosku. — Jeden z wystawców, urodzony wróg chrabąszczów, niszcząc je od lat 20 w najrozmaitszy sposób, stara się także korzystać z nich; nie używa on ich za nawóz — co także jest bardzo pożyteczne, ale podając je 50 stopniom gorąca zyskują z nich olej, dający się użyć do oświetlenia, albo miesza go z tłuszczem innym i wyrabia wyborne smarowidło. Pokazał on na wystawie dotykalnie szkody, jakie w różny sposób czynią chrabąszcze rolnictwu i ogrodnictwu, i nalega o założenie stowarzyszenia do niszczenia tych owadów. Inny znów przedsiębiorca, znakomity zarazem entymolog, zbiera miliony chrabąszczyków z rodzaju *hoplia*, a świetnym lazurem błyszczące ich skrzydełka oprawia jako klejnoty, któremi się zdobią kobiety; przemysł ten czyni kilka kroć stotysięcy franków rocznie.

Okazywano też na wystawie inne osobliwości, np. robaka żyjącego we wnętrznościach chrabąszcza; żółtego kreta jako rzadkość niezmierną, i kolekcję owadożernych ptaków, oraz owadów, które także innemi owadami żyją. Pan *Millet*, inspektor lasów, badał w tym roku żołądek kruków i gawronów, wziętych z gniazd w kwietniu, maju i czerwcu; było tego 3000 sztuk, a samych kruków 844. Badacz przekonał się, że żołądki wszystkich tych ptaków bez wyjątku zawierały szczątki chrabąszczów; niekiedy tylko ale bardzo rzadko spotykał i ziarnka zboża. W żołądkach 1200 wróbli, wziętych z gniazd, znajdował także przeważnie resztki chrabąszczów i szarańczy. *P. Millet* długoletniemi swemi badaniami doszedł do przekonania, że ptaki żywiące się ziarnem głównie, w czasie lęgu żyją głównie owadami. Ważny to wniosek i pierwszy raz dopiero zrobiony.

(Aerostatyka) Człowiekowi marzy się ciągle jeszcze, że zdoła przełamać prawo natury i latać jak ptak po powietrzu. Gazetta del Popolo wychodząca we Florencji donosi, że pewien oficer inżynierji wymyślił przyrząd skrzydłowy, za pomocą którego człowiek może się wzbijać w powietrze i utrzymywać w niem. Przyrząd skrzydłowy przyczepia się do ramion, a wprowadza się w działanie nogami, poruszanemi jak w biegu po ziemi, i z któremi za pomocą sznurów jest w związku. Człowiek tym przyrządem zaopatrzony, zaledwie 20 kroków ubiegnie, czuje się wznoszonym w górę, biegnie niby po ziemi ciągle, a ciągle się wznosi. Żeby się utrzymać w powietrzu, nie powinien człowiek przerwać ruchów bieg naśladujących. Wynalazca próbował swego przyrządu w obec garnizonu twierdzy Aleksandrji, i zamierzał przelecieć na drugą stronę rzeki Bormida, nie głębokiej, ale szerokiej. Rozpędził się po ziemi, wzniósł się istotnie w powietrze, ale popęd dany skrzydłom ustał, a próbujący ich spadł na krzemienisty brzeg Bormidy i złamał sobie nogę. Lecząc się obecnie, myśli tylko o ulepszeniu swego wynalazku.

Wydawca i nakładca: F. H. Richter. Redaktor odpowiedzialny Fr. Waligórski. Z drukarni narodowej W. Manieckiego.